This is a digital copy of a book that was preserved for generations on library shelves before it was carefully scanned by Google as part of a project to make the world's books discoverable online.

It has survived long enough for the copyright to expire and the book to enter the public domain. A public domain book is one that was never subject to copyright or whose legal copyright term has expired. Whether a book is in the public domain may vary country to country. Public domain books are our gateways to the past, representing a wealth of history, culture and knowledge that's often difficult to discover.

Marks, notations and other marginalia present in the original volume will appear in this file - a reminder of this book's long journey from the publisher to a library and finally to you.

Usage guidelines

Google is proud to partner with libraries to digitize public domain materials and make them widely accessible. Public domain books belong to the public and we are merely their custodians. Nevertheless, this work is expensive, so in order to keep providing this resource, we have taken steps to prevent abuse by commercial parties, including placing technical restrictions on automated querying.

We also ask that you:

+ *Make non-commercial use of the files* We designed Google Book Search for use by individuals, and we request that you use these files for personal, non-commercial purposes.
+ *Refrain from automated querying* Do not send automated queries of any sort to Google's system: If you are conducting research on machine translation, optical character recognition or other areas where access to a large amount of text is helpful, please contact us. We encourage the use of public domain materials for these purposes and may be able to help.
+ *Maintain attribution* The Google "watermark" you see on each file is essential for informing people about this project and helping them find additional materials through Google Book Search. Please do not remove it.
+ *Keep it legal* Whatever your use, remember that you are responsible for ensuring that what you are doing is legal. Do not assume that just because we believe a book is in the public domain for users in the United States, that the work is also in the public domain for users in other countries. Whether a book is still in copyright varies from country to country, and we can't offer guidance on whether any specific use of any specific book is allowed. Please do not assume that a book's appearance in Google Book Search means it can be used in any manner anywhere in the world. Copyright infringement liability can be quite severe.

About Google Book Search

Google's mission is to organize the world's information and to make it universally accessible and useful. Google Book Search helps readers discover the world's books while helping authors and publishers reach new audiences. You can search through the full text of this book on the web at `http://books.google.com/`

Jest to cyfrowa wersja książki, która przez pokolenia przechowywana byla na bibliotecznych pólkach, zanim zostala troskliwie zeskanowana przez Google w ramach projektu światowej biblioteki sieciowej.

Prawa autorskie do niej zdążyly już wygasnąć i książka stala się częścią powszechnego dziedzictwa. Książka należąca do powszechnego dziedzictwa to książka nigdy nie objęta prawami autorskimi lub do której prawa te wygasly. Zaliczenie książki do powszechnego dziedzictwa zależy od kraju. Książki należące do powszechnego dziedzictwa to nasze wrota do przeszlości. Stanowią nieoceniony dorobek historyczny i kulturowy oraz źródlo cennej wiedzy.

Uwagi, notatki i inne zapisy na marginesach, obecne w oryginalnym wolumenie, znajdują się również w tym pliku – przypominając dlugą podróż tej książki od wydawcy do biblioteki, a wreszcie do Ciebie.

Zasady użytkowania

Google szczyci się wspólpracą z bibliotekami w ramach projektu digitalizacji materialów będących powszechnym dziedzictwem oraz ich upubliczniania. Książki będące takim dziedzictwem stanowią wlasność publiczną, a my po prostu staramy się je zachować dla przyszlych pokoleń. Niemniej jednak, prace takie są kosztowne. W związku z tym, aby nadal móc dostarczać te materialy, podjęliśmy środki, takie jak np. ograniczenia techniczne zapobiegające automatyzacji zapytań po to, aby zapobiegać nadużyciom ze strony podmiotów komercyjnych.

Prosimy również o:

- Wykorzystywanie tych plików jedynie w celach niekomercyjnych
  Google Book Search to usluga przeznaczona dla osób prywatnych, prosimy o korzystanie z tych plików jedynie w niekomercyjnych celach prywatnych.

- Nieautomatyzowanie zapytań
  Prosimy o niewysylanie zautomatyzowanych zapytań jakiegokolwiek rodzaju do systemu Google. W przypadku prowadzenia badań nad tlumaczeniami maszynowymi, optycznym rozpoznawaniem znaków lub innymi dziedzinami, w których przydatny jest dostęp do dużych ilości tekstu, prosimy o kontakt z nami. Zachęcamy do korzystania z materialów będących powszechnym dziedzictwem do takich celów. Możemy być w tym pomocni.

- Zachowywanie przypisań
  Źnak wodny"Google w każdym pliku jest niezbędny do informowania o tym projekcie i ulatwiania znajdowania dodatkowych materialów za pośrednictwem Google Book Search. Prosimy go nie usuwać.

- Przestrzeganie prawa
  W każdym przypadku użytkownik ponosi odpowiedzialność za zgodność swoich dzialań z prawem. Nie wolno przyjmować, że skoro dana książka zostala uznana za część powszechnego dziedzictwa w Stanach Zjednoczonych, to dzielo to jest w ten sam sposób traktowane w innych krajach. Ochrona praw autorskich do danej książki zależy od przepisów poszczególnych krajów, a my nie możemy ręczyć, czy dany sposób użytkowania którejkolwiek książki jest dozwolony. Prosimy nie przyjmować, że dostępność jakiejkolwiek książki w Google Book Search oznacza, że można jej używać w dowolny sposób, w każdym miejscu świata. Kary za naruszenie praw autorskich mogą być bardzo dotkliwe.

Informacje o usłudze Google Book Search

Misją Google jest uporządkowanie światowych zasobów informacji, aby staly się powszechnie dostępne i użyteczne. Google Book Search ulatwia czytelnikom znajdowanie książek z calego świata, a autorom i wydawcom dotarcie do nowych czytelników. Caly tekst tej książki można przeszukiwać w internecie pod adresem `http://books.google.com/`

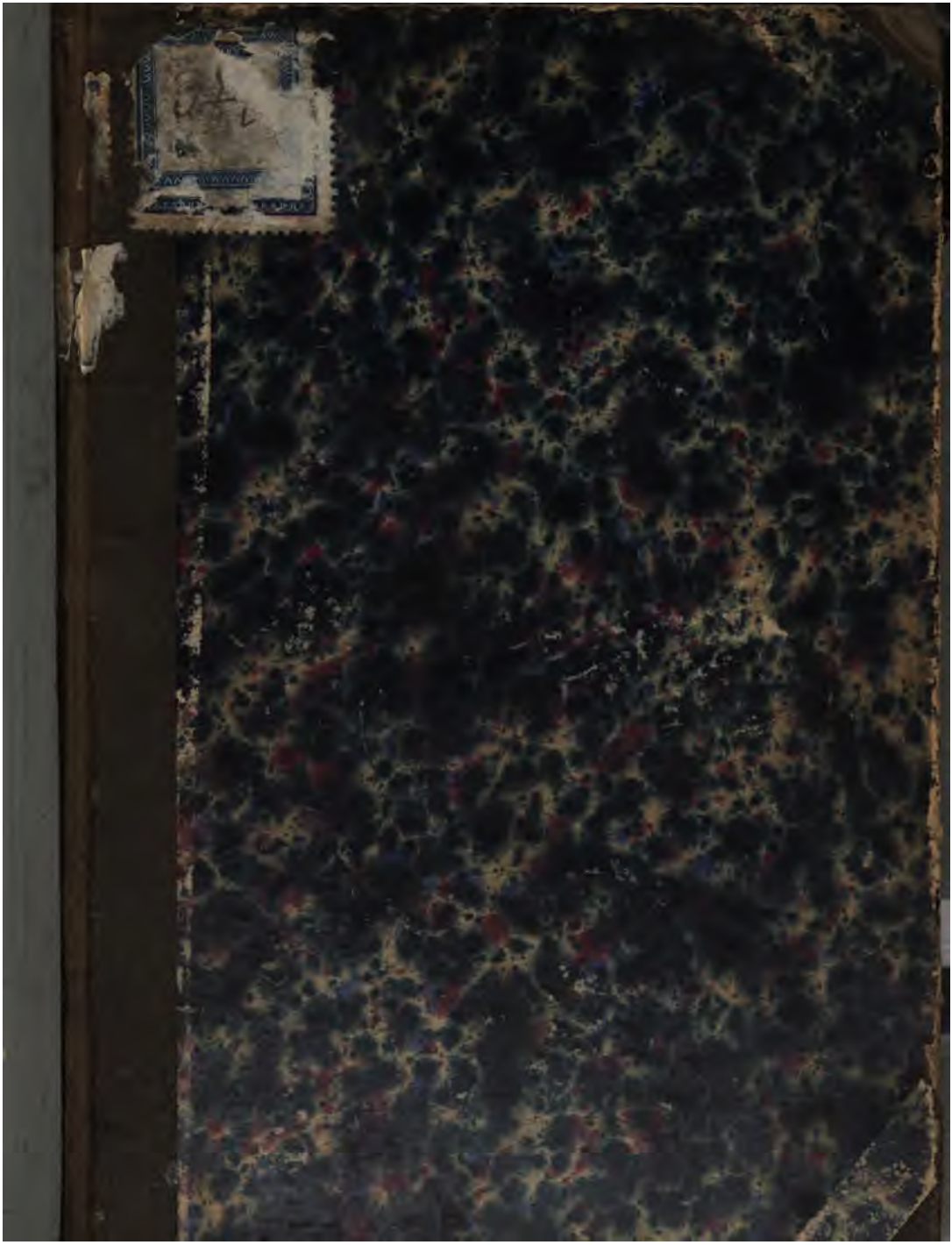

STANFORD UNIVERSITY
LIBRARIES

1356

kolny Siostr Wizytek
nyce III. 39.

WSPOMNIENIA Z PRZESZŁOŚCI.

Ryc. z Lat. Kossowicza — Lit. A. Dawmontowicza

KSIĄDZ JANKO I BIAŁY KSIĄŻE

Własność N. Wiszeth.

WSPOMNIENIA

Z PRZESZŁOŚCI

OBRAZKI

POŚWIĘCONE MŁODEMU WIEKOWI

PRZEZ

ALEXANDRĘ z CHOMĘTOWSKICH BORKOWSKĄ.

WARSZAWA.

NAKŁADEM AUTORKI.

W DRUKARNI J. PSURSKIEGO,
Przy ulicy Alexandrja N. 27685.

1860.

DK 4150
B77

Wolno drukować, z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury, po wydrukowaniu prawém przepisanéj liczby exemplarzy.

Warszawa, d. 30 Kwietnia (12 Maja) 1860 r.

Cenzor, Radca Kollegialny, **Stanisławski.**

— Co było w Bożéj miłości poczęte
To i dziś jeszcze w sercach niewychłodło
I wiecznie żywe, jest w pamięci święte
O i nie do tych duch się w dziejach garnie
Co żyli w złocie, a dziś śpią w marmurze
Ale co żyli dla świata nie marnie,
A dziś czuwają jak anieli stróże
Nad ową ziemią, co im rodzicielką
Którą miłością kochali tak wielką,
Ze na jéj skrzydłach, i za jéj przyczyną,
I dzis ku niebu jeszcze serca płyną.

Wincenty Pol.

RACIBORSKI ZAMEK.

Wśród warownych i posępnych murów starego zamczyska Piastów na Szląsku, wyrosła gołębica biała, rozjaśniająca swą pięknością najciemniejsze zakątki książęcego grodu.

Eufemia, córka Leszka Raciborskiego Księcia, od lat najmłodszych zwracała ku sobie wszystkie oczy i serca, zarówno wdzięczną urodą, jak niepospolitemi ducha bogactwy. Gdy dorosła lat ośmnastu, ciągnęli ze wszech stron na dwór Leszka możni panowie i waleczni rycerze, pragnąc pozyskać jéj względy. Gdziekolwiek zwróciła swe kroki napotykała hołdy i słyszała pochwały, mimo to jednakże nie rosła w pychę ani téż próżność nie zajmowała jéj serca. Zdawało się nieraz że

niedostrzega tego co ją otacza, tak mało zajętą była sprawami świata. Czytanie książek pobożnych i uczynki miłosierne najmilszą jéj były rozrywką, a czy to krzątając się około zachodów domowych, od których w owych wiekach wolnemi nie były najznakomitszych rodów niewiasty, czy to zabawiając się igłą lub kądzielą, modliła się w duchu i rozmyślała o rzeczach wiecznych. Roznosiła sama wsparcie i leki po chatach ubożuchnych prostaczków nie szczędząc im przy tém rady i pociechy; los tych braci w Chrystusie najżywiéj ją zajmował, starała się przynieść im ulgę będąc ich tkliwą opłekunką.

Jednego wieczora powracając wraz z ochmistrzynią ze zwykłych swych wycieczek, spotkała w bramie zamkowéj świetny orszak rycerski z dalekich stron przybyły. Po raz pierwszy serce jéj uderzyło niepokojem, niby przeczuwając zbliżenie się stanowczéj chwili w życiu, dotąd bowiem, dziwnym trafem, żaden z ubiegających się o jéj rękę nie skłonił ku sobie księcia Leszka.

Eufemia zatem wolną była w swych zamysłach. Poznała tą razą że nowy gość odwiedzający Raciborski zamek przewyższa dawnych zamożnością i powagą. Drżąc ze wzruszenia pobiegła do swéj komnatki oczekiwać rychło ją zawezwą na pokoje ojcowskie, jakoż niezadługo jeden z dworskich ukazał się w progu.

W wielkiéj sklepionéj izbie, do któréj przeciskały się słabo promienie zachodzącego słońca, siedział książe Leszek na wyniesieniu pokrytem niedźwiedzią skórą, jedną rękę wspierał na rękojeści miecza a drugą głaskał długą siwą brodę, oczy spuścił ku ziemi niby pogrążony w głębokiéj zadumie. Przed nim w bogatych świątecznych szatach stali posłowie Brunswickiego księcia oczekując odpowiedzi na prozbę którą zanieśli w imieniu pana swego.

Zbrojni pachołcy rozwarli ciężkie wrzeciądze i ukazała się przywołana dzieweczka książęca. Przyodziana skromnéj barwy szatą, strojną była

blaskiem swéj krasy i młodości więcéj, aniżeli gdyby ją okrywały drogocenne tkaniny. Rozjaśniło się oblicze Leszka gdy wejrzał na ulubioną córkę.

— Oto jest przed wami wesele méj duszy, miła dziewka moja, rzekł zwracając mowę do posłów, skoro macie już przyzwolenie nasze, przełożcież jéj wasze żądania, ażali ku spełnieniu ich wstrętu mieć nie będzie. Najstarszy z przybyłych rycerzy, zwrócił się wtedy do Euemii i w prostych wyrazach nie kusząc się o ozdoby oratorskie, przełożył prośbę o rękę jéj dla pana swego. Dzieweczka rumieniła się i bladła na przemiany, gdy skończył mówić schyliła się najpierw do kolan ojca i rzekła nieśmiało:

— Czy pozwolicie mi panie i ojcze wypowiedzieć co mam na sercu i według tego rozrządzić mą dolą?

Otrzymawszy przychylną odpowiedź, pewnym lubo zdradzającym głębokie wzruszénie głosem, mówiła już do posłów:

— Szlachetni panowie powiedzcie księciu wa-

szemu że wdzięczna mu jestem za cześć którą mi wyrządza chcąc mię pojąć za małżonkę, żałuje że się przychylić nie mogę do jego żądania, lecz to niepodobna skoro zaślubioną już jestem zacniejszemu i piękniejszemu oblubieńcowi, widzę że mowa moja dziwną i niezrozumiałą jest dla uszu waszych, ciągnęła daléj z uśmiechem, dostrzegłszy poruszenie obecnych, aliści spodziewam się że podziw ten zniknie skoro dowiecie się że oblubieńcem mym jest Chrystus.

Zadrzał książe Leszek na te słowa córki. Była ona jedynem jego dziecięciem i radował się nadzieją że pojąwszy godnego siebie małżonka rozweseli ostatek dni jego, myśl więc że zamiast ślubnego wianka ujrzy na jéj skroni zakonną zasłonę, boleśnie ścisnęła mu serce.

— Jakto, zawołał, porywając się z miejsca chciałażbyś miła córko osierocić rodziców aby się zamknąć po za klasztornemi kraty; nie uczynisz tego! Bóg nie wymaga od nas tak wielkiéj ofiary!—

— Panie i ojcze mój odrzekła dzieweczka,

sami mówiliście mi nieraz że żywot człowieczy bojowaniem jest tylko na ziemi, azalisz nie lepsza dostanie mi się cząstka gdy zamiast złożyć wszystkie me nadzieje w sercu równie znikomego jak ja prochu, złoże je w Bogu, który ich nie zawiedzie nigdy?—O wierzajcie mi, to co nazywacie ofiarą, jest nie czem innem jeno najwyższem szczęściem na ziemi, dodała jeszcze z głębokiem przekonaniem o prawdzie słów swych, obejmując kolana Leszka który milczał rozżalony zakrywając ręką oblicze.

Książe Brunswicki znany był powszechnie ze swych cnót i dworności rycerskiéj, posłowie przeto długo wierzyć niechcieli aby postanowienie Eufemii nieodmienne być miało.

Zabawili jeszcze czas jakiś w Raciborskim zamku, sądząc że przedstawienia rodziców skłonią ją do przyjęcia ofiary ich pana. Przez cały ten czas oboje księztwo kolejno przemawiali do córki, aby wzruszyć jéj serce i zwrócić je z obranéj sobie drogi, aliści wszelkie ich usiłowanie ku temu daremnemi były, zmiękczeni w końcu jéj stałością nie opierali się dłużéj wyrokom Bożym.

W roku 1339 w ostatnich dniach maja wszystkie domy Raciborza świąteczną przybrały barwę, przystrojone w zielone wieńce z liści przetykanych kwiatami. Mieszkańcy miasta chcieli uczcić w ten sposób dzień niebieskich godów ukochanéj przez nich córki książęcéj. Droga prowadząca z zamku do klasztoru panien Dominikanek również liściem i kwieciem zasłaną była. W pierwszych godzinach porannych przesunął się orszak, na czele którego postępowała Eufemija w pośrodku obojga rodziców. Po raz pierwszy w życiu okrywały ją szaty odpowiednie znakomitości jéj rodu. W białéj srebrną nicią przerabianéj sukni, w purpurowym płaszczu, książęcym zarzuconym na ramiona w bogatym dyademie przeplatanym rozmarynowemi liśćmi, piękna córa Piastów jaśniała wśród otaczającego ją tłumu ludu, jak pierwsza zaranna gwiazda na niebie. Blask jéj urody nie tyle jednakże podniesiony był świetnym strojem, ile owym wysokiem spokojem ducha, jaki zaznać mogą ci tylko na ziemi, którzy zdolni są wyrzec się bez żalu wszystkiéj jéj ponęty i ułudy.

Spoglądając w owéj chwili na oblicze córki, żałośni rodzice zapominali, ile ich łeż kosztowało jéj postanowienie, i dziękowali panu w pokorze że ich obdarzył takiem dziecięciem.

Liczny orszak dworskich ludzi księztwa, sąsiednich panów, a wreście ubogich mieszkańców okolicy, zakończał cały pochód. Stare podanie mówi, że gdy księżniczka wstąpiła w progi świątyni, słyszéć się dały nagle anielskie śpiewy, któremi czyste duchy niebieskie okazywały radość z przyjęcia do grona swego nowéj siostry.— Wkrótce po wykonaniu zakonnych ślubów, Eufemija przeszła wszystkie swe towarzyszki w doskonałości duchowéj; jednozgodnie téż obrały ją swą przełożoną. Dopełniając wtedy ściśle obowiązków swego stanu, niezapominała powinności względem rodziców i ubogiego ludu Raciborskiego księztwa. Była dobrym aniołem wszystkim którzy potrzebowali jéj pomocy i nie zdarzyło się nigdy aby smutny lub uciśniony odszedł niepocieszony od furty klasztornéj. Przy schyłku życia wystawioną została na bolesne prożby, które jednakże mężnem przetrwała sercem.

Umarli najpierw oboje jéj rodzice i synowiec Lészka zajął w posiadanie całe Raciborskie księztwo. Chciwy na doczesne skarby, zagarnął wszystkie dochody klasztorne, nie wyłączając nawet włości które Eufemija dostała w wianie. Zakonnice cierpiały z tego powodu srogi niedostatek i z pracy rąk własnych utrzymywać się musiały. Księżniczka zachęcała je wtedy przykładem i słowem do cierpliwości i pokory, bolała tylko nad tem że nie mogła jak pierwéj opatrywać wszystkich potrzeb swych ubogich. W kilka lat po tych wypadkach Chrystus zawezwał swą wierną oblubienicę, śmierć jéj z wielkim żalem współczesnych przypadła w roku 1359. Stare kroniki twierdzą że Pan chcąc okazać ludowi jak mu miłą była ta czysta i święta dusza, wysłuchiwał cudownie prośby wędrowców, którzy zasyłali do niéj pobożne westchnienia zwiedzając Raciborski zamek.

SIOSTRA KSIĘCIA MIECZYSŁAWA.

Walną toczono naradę na zamku Gnieźnieńskim, czy g'woli żądaniu, które Gejza, węgierski władca, objawił przez usta zacnych posłów, oddać mu za żonę Adelajdę, piękną i pobożną polską księżniczkę. Sprzeciwiało się temu związkowi wielu panów radnych, a to z powodu, że Gejza pozostawał jeszcze w ciemnych błędach pogaństwa; biskupi tylko przychylnemi mu byli, przewidując pomnożenie chwały kościoła przez nawrócenie niewiernych. Książe Mieczysław, lubo miłował wielce swoją młodą siostrę i pragnął jéj pomyślności, chętnie także dawał ucho przedstawieniom posłów, i starał się wpływać przeważnie, aby przychylną uzyskali odpowiedź; pomnąc jako

skarb wiary przyniesiony mu był przez równie piękną i cuotliwą niewiastę, nie wątpił, że i węgierski książe ulegnie wkrótce słodkim namowom Adelajdy. Po długich naradach, stanęło wreszcie na tém że księżniczka sama wyrzeknie o swym losie.

W komnatach Dąbrówki, w pośród grona jéj niewiast, młoda dzieweczka przędła cieniuchną kądziel; odziana była lnianą, śnieżnéj bieli szatą, jasne włosy otoczyła zielonym wieńcem przylaszczek; cała jéj postać tchnęła jakąś lubą prostotą i anielskim spokojem ducha. W jednym dniu z Mieczysławem oblano jéj skronie wodą Chrztu świętego, a zdrój téj wody życia, wniknął do głębi czystéj i tkliwéj duszy, któréj wiara najpierwszą była potrzebą.

Dąbrówka siedząc na wyniesionym krześle, tkała wzorzystą kościelną szatę, opowiadając zarazem zgromadzonym niewiastom, żywot bogobojny i śmierć męczeńską stryja swego Wacła-

wa. Wszystkie słuchały z wielkiem zajęciem księżny, żadna jednakże nie była tak wzruszoną, jéj opowiadaniem, jak Adelajda. Oczy młodéj dziewicy naprzemiany zamglały się łzami, lub świeciły jasnym promieniem zapału; rzekłbyś, że w onéj chwili gotową była, jak ów święty królewicz, wycierpić morze boleści za swą wiarę.... Nie uważała nawet, jak wrzeciono wymknęło się z jéj ręki i kądziel upadła na podłogę.

Nagłe skrzypnięcie ciężkich drzwi dębowych, ocknęło ją z pobożnego zachwytu, i przerwało opowieść Dąbrówki. W progu komnaty ukazał się mąż poważny w kapłańskiéj odzieży;—był to sędziwy Oktawian, jeden z dziewięciu biskupów, których na prośby Mieczysława przysłał do Polski papież Jan XXIII. Gdy pozdrowił niewiasty powstające na jego powitanie, i z każdą z kolei zamienił słów kilka, Dąbrówka umieściła go w swém krześle, sama zaś usiadła na niskiéj ławeczce obok Adelajdy; otoczywszy ręką dzieweczkę wsparła się lekko na jéj ramieniu, tak, że czarne sploty wymykają-

ce się z pod śnieżnego rąbka, dotykały jasnych włosów otoczonych zielonym wieńcem. Według obyczaju owych wieków, obie siostry w pełném uszanowania milczeniu, oczekiwały aż biskup pierwszy przemówi, i wyjawi powód swego przybycia; on zaś patrzał na nie i wsparłszy głowę na ręku dumał głęboko. Piękne i wydatne rysy czeskiéj niewiasty, różne były od miękkiego i wdzięcznego oblicza Polskiéj księżniczki, a jednakże w onéj chwili obie zdały się sobie podobne, bo jednaki wyraz słodyczy i pokoju czynił widném, że dusze ich spokrewnione były.

W miarę, jak myśl ta rozprzestrzeniała się w umyśle sędziwego pasterza, uśmiechał się błogo—nadzieją, że równie jak Dąbrówka, Adelajda stanie się kiedyś matką z ducha i wiary pogańskiego ludu. Nie ociągając się tedy dłużéj, zażądał osobnéj z nią rozmowy, a gdy pozostali sami, jął zaraz zdawać sprawę z danego mu polecenia. Opowiedział najpierw poselstwo Gejzy, spory panów radnych, a potém życzenia Mieczysława i całego duchowieństwa.

Przeraziła ta mowa serce młodéj księżniczki, nigdy bowiem dotąd nie pomyślała jeszcze, aby jéj kiedy przyszło opuścić ojczyznę miłą, ukochanego brata i krewnych, a to wszystko dla człowieka niezłączonego z nią nawet wspólnością wiary, w którego żyłach płynęła krew barbarzyńskich Hunnów.

Tu biskup Oktawian powtórzył jéj słowa Pisma: „jako przez żonę wierną, mąż niewierny zbawion będzie", i zaraz przytém jął przedstawiać, jak o wiele pomnożyć może chwałę prawdziwego Boga, zwracając ku Niemu serca niewiernych. Słowa starca pełne zapału i namaszczenia, orzeźwiały trwożną duszę dzieweczki jak rosa poranna omdlałe kwiatów kielichy.

W miarę jak Oktawian zachęcając ją, aby się stała dobrym aniołem Gejzy, rozjaśnił ciemną chmurę przyszłości, rozweseliło się jéj serce i świtać w niém począł maluczki promyk niebieskiéj nadziei. Drżąca i wzruszona, żądała tylko dni kilku do namysłu, azali udźwignąć potrafi ciężar który chciano włożyć na jéj ramiona.

Gdy czas oznaczony upłynął posłowie węgierscy ponieśli panu swemu wieść radosną, że księżniczka polska przyrzeka oddać mu rękę. Nie pomału ucieszył się Gejza tem przyzwoleniem, słyszał bowiem oddawna o cudnéj urodzie i zacnych przymiotach swéj narzeczonéj; jakoż nie zawiódł sie w oczekiwaniu, i przy pierwszem wejrzeniu ujęty został wdzięczną jéj postacią.

Spełniły się również wróżby czynione Adelajdzie; w niedługim czasie potrafiła zjednać Bogu małżonka swego. Z rąk Ś. Wojciecha obecnego podówczas w Budzie, przyjął Gejza Chrzest święty, wraz panami dworu i córką z pierwszego małżeństwa Judytą. Te ostatnią pojął późniéj za żonę Bolesław Chrobry; wychowana przez Adelajdę winną jéj była posiew cnót, które w późniejszem życiu rozwinęły się bujnie w jéj sercu.

Uczeni mężowie sprowadzeni z Polski, dopomagali księżnie Adelajdzie do rozszerzania wiary świętéj po całym węgierskim kraju; ona zaś sama przyczyniała sobie umartwień i podwajała modły, błagając Pana, aby dobre dzieło wzrastało w około.

Mnożyli się téż ciągle katechumeni, a Gejza coraz mocniéj przywiązywał się do nowéj wiary. Jednéj nocy miał we śnie widzenie, które niepojętą radością napełniło jego duszę. Zdało mu się że cudnéj urody młodzian pochyla się nad łożem jego, mówiąc: „Pokój tobie Gejzo, miły Bogu chrześcijaninie! Oznajmuję ci że modły twe wdzięczne są przed obliczem Pańskiém. Za staranie o rozmnożenie Jego chwały, da ci Bóg syna który w téjże pracy nie ustanie, i ozdobion będzie koroną tego królestwa.” Gdy nazajutrz książe opowiadał sen swój małżonce wyznała mu że téjże saméj nocy ukazał jéj się mąż poważny i rzekł: „Jam jest Stefan pierwszy męczennik Chrystusów, ufaj córko i nie lękaj się, a wkrótce Bóg da ci syna który najprzód ziemską a potem niebieską otrzyma koronę, daj mu na Chrzcie świętym imie moje.”

Nie zadługo spełniły się widzenia prorocze obojga małżonków. Bóg dał im syna, którego nazwali Stefanem. On to pierwszy z węgierskich książąt otrzymał koronę królewską od pa-

pieża; wychowany przez bogobojną matkę, zajaśniał wkrótce wysoką świętobliwością. Adelajda długo patrzała na jego cnoty i ziemską chwałę, choć doszła lat sędziwych, nie ustawała w pobożnéj pracy; rozkrzewiła wiarę świętą, budowała świątynie i otaczała opieką swą uciśnionych, słowem stawiała przed oczy światu, przykłady cnót najwznioślejszych; to téż po jéj zgonie, żałość ścisnęła serca poddanych, i dotąd jeszcze wierny lud zamieszcza pobożną Polkę wraz z jéj synem w liczbie swych orędowników przed Tronem Wszechmocnego.

JAROSŁAW BOGORYA

ZE SKOTNIK.

W czternastym wieku słynęła szeroko po świecie Bonońska wszechnica, rozlewając strumienie światła na ościenne kraje, zwabiała w swe mury zastępy uczniów z różnych narodów. Liczba ich dochodziła do kilku, a często nawet do kilkunastu tysięcy. Według swéj możności zajmowali oni skromne lub wykwintne gospody w mieście; wszyscy jednakże uważali się jak bracia, zpowodu że miłowali zarówno wspólną matkę— naukę. Zdarzyło się jednego razu że pewnego z nich, rodem Anglika, magistrat miéjski skazał na śmierć, i natychmiast potajemnie wyrok swój w więzieniu wykonać rozkazał.

Nieszczęsny ten młodzieniec pilnym był w naukach, lubionym od towarzyszów, a co większa nie dopuścił się zbrodni, o którą go obwiniła złość i ciemnota. Nazajutrz po tym wypadku wszyscy akademicy zeszli się na walną naradę, jakoby pomścić śmierć towarzysza.

Burzliwe bardzo było to zebranie; każdy głosował z równym zapałem i oburzeniem. Jedni radzili krwią niesprawiedliwych sędziów powetować krew niewinnie przelaną, drudzy mówili o spaleniu miasta, i ukaraniu w ten sposób wszykich jego mieszkańców; i był gwar i rozruch wielki w miejscu gdzie przed tém brzmiały uroczyste i poważne słowa mistrzów wykładających głębokie prawdy nauki. Gdy już każdy wypowiedział co miał na myśli, i spierano się tylko na czyjemby poprzestać zdaniu, rektor akademii powstał z krzesła, które zajmował na wyniesieniu, i włożywszy czarny aksamitny biret na głowę, dał znak że chce przemówić. Jak niegdyś na skinienie Chrystusowéj ręki uspokoiły się fale wzburzonego morza, tak na głos przełożo-

nego niesforna rzesza nagle umilkła i przyszła do porządku. Panowie, ozwał się tenże, słuchałem uważnie słów waszych, [illegible]noszę znich, że czujecie żywo śmierć współtowarzysza, wierzajcie mi że podzielam to uczucie, mimo to jednakże zgodzić się nie mogę na sposób, w jaki chcecie sobie postąpić; pomsta należy do Boga, my zaś winniśmy tylko zwrócić cześć wydartą temu którego opłakujemy. Trzeba nam zmusić niesprawiedliwych sędziów, aby uczynili zadość za swą zbrodnię wyświecając jasno niewinność przyjaciela naszego; bądź[illegible] pewni, że ten ich postępek milszym będzie duchowi jego, aniżeli morze krwi przelanéj.

Długo jeszcze mówił w téj treści przełożony, a słowa jego spadały jak chłodząca rosa na wrzące gniewem serca słuchaczów. Przedstawił im w końcu, że życzeniem jego jest, aby zamknąć akademią, w mieście nie godném jéj posiadania; żeby zaś uczniowie nie tracili na tém, mogą się zgromadzać po za obrębem murów miejskich, póki się nie stanie zadość ich żądaniu, i akademia na nowo otwartą nie będzie. Młody rektor wy-

niesiony miłością ogółu na stopień który zajmował, wywierał wpływ przeważny w około siebie, wszyscy téż powoli przychylili się do jego zdania pomnąc, jako nieraz już dał im dowód swéj mądréj rozwagi.

Cudzoziemiec przybyły z północy, zjednał sobie serca otaczających go dzieci różnych narodów. To téż gdy wkrótce po wypadku, w którym młódź akademicka poszedłszy za jego radą, uzyskała zadość uczynienie swéj krzywdy, wybierał się z powrotem do swéj ojczyzny, z żalem żegnali go wszyscy, a gdy już opuścił mury Bononii, pamięć jego długo przechowała się w sercach towarzyszy.

* * *

Rok 1343, pamiętnym był dla Polski pokojem zawartym z Krzyżakami, w skutku którego Kazimierz W. odstąpił im Pomorza, nie pomnąc, że Władysław Łokietek zastrzegł w swém ostatniém rozporządzeniu, aby nigdy nie odłączać od Polski téj części ziemi.

Zwołano sejm we Władysławowie dla obwieszczenia woli królewskiéj; nikt z obecnych panów radnych nie śmiał się jéj sprzeciwić, sami nawet książęta mazowieccy w głębokiem milczeniu pochylili tylko ku ziemi zasmucone oblicze, gdy radzono jako wypadło odjąć pieczęcie pomorskiego księztwa od pieczęci królestwa; aliści wtedy powstał mąż poważny, i stanąwszy na czele zgromadzonych biskupów, którzy snać ku temu przez niego namówieni powstali także, zaczął odważnie i gorąco mówić o zniewadze wyrządzonéj imieniowi polskiemu, przyjęciem takich warunków pokoju. Mężem tym niepomnym na siebie, gdy chodziło o dobro kraju, był arcybiskup gnieźnieński, niegdyś rektor akademii bonońskiéj, Jarosław Bogorya Skotnicki. Ród jego z dawna słynął w Polsce zamożnością i przewagą, stare dzieje wspominają jako jeszcze w r. 1069, gdy poświęcano pierwszy kościół Świętokrzyzki, obecny był temu obrzędowi w gronie wielu innych rycerzy, szlachetny Michał hrabia Bogorya który z liczną rodziną z Węgier przeniósł się do Polski. W da-

wném województwie sandomierskiém, podziś dzień istnieje miasteczko Bogorya, darowane niegdyś przez potomka jego Mikołaja Koprzywnickiemu klasztorowi Cystersów. Nie zasługi jednakże naddziadów, lecz więcéj od nich znacząca osobista wartość, wyniosła Jarosława na arcypasterską godność; nie był nawet jeszcze biskupem, tylko kanonikiem i archidyakonem krakowskim, gdy po śmierci Janisława biskupa, jednomyślnie wybranym został jego następcą przez kapitułę gnieźnieńską. Obdarzony bystrym rozumem i wielkiemi cnoty, sprawował urząd swój z dziwną roztropnością, opiekował się troskliwie podległemi sobie dyecezyami, czynił w nich ład i uspakajał zatargi pomiędzy możnemi pany a biskupami. Powracał kościołowi wydarte mu dobra, i kosztem swym wznosił nowe świątynie, jako to: w Gnieźnie Opatowie i w dziedzicznéj swéj wsi Skotnikach w Sandomierskiém. Wyrestaurował kolegiatę w Uniejowie i w Kaliszu, nadto wiele ubogich kościołów opatrzył i przyozdobił. Niezmordowany w pracy kapłańskiéj, wytępił szerzącą się wtedy

w Polsce sektę biczowników; przyczynił się do utworzenia stolicy biskupiéj na Rusi, i sam wyświęcał pierwszego jéj pasterza.

Zapewne dla okazania, jak żywot ten użytecznym był Kościołowi i ojczyznie, Bóg przedłużył go poza zwykłe krańce. Na parę lat przed śmiercią, Jarosław znacznie był podupadł na wzroku, mimo to jednakże, nie przestawał spełniać swych obowiązków; rozrzewniający był widok, gdy przeszło stuletni niewidomy starzec wraz ze zgromadzonym ludem śpiewał pieśni święte, odprawował inne wiary naszéj obrzędy. Skoro już czuł się bardzo osłabionym, za szczególném zezwoleniem papieża, mianował swym następcą siostrzeńca swego, Jana Grzymałę, sam zaś odsunął się od wszelkich spraw tego świata, i oddał się cały pobożnym rozmyślaniom; we dwa lata potém dokonał w kaliszu bogobojnego żywota. Pochowano go w kaplicy gnieźnieńskiéj; na pamiątkę, że wstąpił na arcybiskupią stolicę nie przechodząc drogi wskazanéj prawem kościoła, zastrzegł sobie przed śmiercią, aby zwło-

ki jego wniesione były do grobu nie przez kościół, lecz otworem zrobionym w ścianie kaplicy. Ostatnie to życzenie pokornego starca, wiernie miało być wykonane.

BIAŁY KSIĄŻE.

Przy schyłku XIV stulecia, prowanckie miasto Avignon ściągało w swe mury liczne wędrowców zastępy. Jedni z nich radzi byli przyjrzéć się wspaniałym obrzędom kościelnym, które z powodu rozdwojenia Apostolskiéj stolicy, odprawiały się tam podobnie jak w Rzymie; drudzy zaś nierozważając ażali Urban VI lub Klemens VII jest prawym następcą Piotra, a korząc się przed majestatem idei papieztwa, pragnęli, aby ten który ją wyrażał, rozwiązał na ziemi to, co chcieli miéć rozwiązaném w niebie. Zdarzyło się podczas świąt wielkanocnych, że sam król francuzki Karol, Mądrym zwany, któremu Klemens VII winien był swe wyniesienie, znajdował się wraz

ze świetnym orszakiem dworzan i panów na nabożeństwie odprawowaném w starożytnéj katedrze.

W chwili gdy papież wznosząc w górę krzyż Chrystusa, głosił zwycięztwo śmierci, rozległ się w pobliżu ołtarza głuchy okrzyk boleści. Nie zważał nań tłum ciekawy, zajęty wspaniałym widokiem jaki miał przed oczyma; lecz znalazło się kilka dusz litościwych, które zaniechały nabożeństwa, aby wesprzéć omdlewającego pielgrzyma; przeniesiony naprędce do zakrystyi, gdzie już łacniéj było czynić koło niego starania, niezadługo odzyskał zmysły. Skoro otworzył oczy, zdawał się szukać dokoła widzenia które znikło, a drogiém mu było, bo wymawiał jakieś wyrazy w niezrozumiałym dla otaczających języku, i załamywał ręce z rozpaczą. Gdy rozmyślano, coby z nim począć daléj, zjawił się starzec pięknéj i poważnéj postawy, przyodziany kapłańskiemi szaty, z dziwném wzruszeniem i zajęciem przyglądał się choremu; nagle oczy ich spotkały się, pielgrzym wyciągnął natychmiast ręce, i zawołał

w polskiém narzeczu: „Was że to widzę, wielebny Ojcze? przemówcież, abym poznał, ażali mię wzrok nie myli!” Starzec ścisnął z uczuciem podane sobie dłonie, i odpowiedział tąż samą mową na powitanie rodaka.

W kilka dni po tém wydarzeniu, w zamożnéj miejskiéj gospodzie, siedział ksiądz Janko archidyakon gnieźnieński przy łożu chorego; po przyborach jakie ich otaczały, znać było, że to nie chudy pachołek, lecz pan możny i potężny ukrywał się pod pokorną szatą pielgrzyma. Liczna służba krzątała się w izbie, któréj ściany naprędce bogate pokryły kobierce, wszelki sprzęt potrzebny do jadła lub napoju, z czystego ulany srebra stał rozstawion na dębowym stole. Chory, był to mąż nie w pierwszéj wiośnie życia, lecz pięknéj jeszcze i wspaniałéj urody, zdawał się bardzo znękanym trudami dalekiéj podróży lub téż ukrytém w głębi duszy cierpieniem; oczy jego czasami łagodnym jaśniały blaskiem, czasami znów ponure rzucały błyskawice, wyrażając niespokojne i burzliwe uczucia; długie lnianego koloru wło-

sy, spadały na wezgłowie pokryte niedźwiedzią skórą, ręce miał skrzyżowane na piersiach, jak gdyby chciał w ten sposób stłumić uderzenia serca, w chwili gdy w kornéj spowiedzi wypowiadał przed kapłanem wzystkie swéj duszy tajemnice.

„Znacie mnie oddawna, księże Janku, mówił słabym i przerywanym głosem, lecz nie wiecie z kolei tylu dziwnych, sprzecznych z sobą i występnych czynów mego nieszczęsnego żywota. Wiecie, jako niegdyś, potężny na Inowrocławiu i Gniewkowie pan, pokrewny wielkiego polskiego Kazimierza, mąż pięknéj i cnotliwej niewiasty, żyłem zdala od trosk i zgryzoty! Niestety! częstokroć w szczęściu, człowiek daje się powodować złym namiętnościom, zapominając celu i końca swéj pielgrzymki, tak i zemną było! Zdarzyło się jednego razu, że w przystępie gniewu, przelałem krew człowieka który mi się sprzeciwił, i oto Pan, aby zwrócić ku sobie dumne serce i dać mu poznać ohydę spełnionego czynu, zesłał srogie nieszczęście. Nagle po krótkiéj chorobie,

umarła ukochana moja niewiasta... dusza jéj uleciała do nieba, aby nie być świadkiem występków... Wiele lat odtąd przeszło ponad mą głową, wiele burz przeszumiało, a jednakże dziś jeszcze widzę moją lubą Kunildę taką, jak była gdym ją ujrzał poraz pierwszy na dworze jéj ojca Strzeleckiego księcia. Nie będę wam opowiadał szczęścia mego gdy otrzymałem jéj rękę, ani téż żałości, gdy nas rozdzieliło wieko trumny... W pierwszéj chwili zdało mi się, żem zawarł wieczne przymierze z aniołem stróżem, który zmaże wszystkie winy mego żywota od dalszych ochraniając błędów; w drugiéj zaś sądziłem, że świat cały pokrył się czarnym kirem, a wśród téj strasznéj i posępnéj nocy, nie było dla mnie zbawienia, ni spokoju. Udałem się do Ziemi Świętéj, i dopiéro przy grobie Ukrzyżowanego lżéj oddychać począłem; całe me jestestwo ogarnęła tam jakaś rzewna tęsknota, niby przeczucie połączenia się w przyszłem życiu z ukochaną moją... Skoro nadeszła pora powrotu do kraju, opuszczałem z żalem święte miejsca

i pamiątki, a gdy zbliżałem się do opustoszałéj méj siedziby, coraz głębszy smutek uciskał mi serce; aby przed nim uciec, umyśliłem przepatrzyć jeszcze sąsiednie kraje. Skoro zatrzymałem się jakiś czas w Pradze, wciągnięto mię w biesiady i pochulanki cesarskiego dworu, ale daremnie, daremnie, wszędzie i zawsze w kielichu przelotnéj rozkoszy, gorycz znajdowałem na dnie! Porzuciłem zabawy i gonitwy rycerskie, aby znaleźć zapomnienien méj boleści wśród prawdziwych wojennych zapasów. Wojowałem z Litwą pogańską, lecz wśród mordów i pożogi, równie jak wśród gwaru i zgiełku świata, nie zaznałem spokoju... i tęskno mi było bardzo do Chrystusowych śladów... i zamyśliłem poświęcić się na zawsze Panu w samotnéj zakonnéj celi.

„...W krótce po całych Kujawach rozbiegła się wieść, że pan ich, Władysław, dla jasnych włosów *Białym* zwany, przyjął regułę Św. Benedykta w francuzkim klastorze w Dijon, i pędzi tamże żywot w umartwieniu i ostréj pokucie.

O czemuż na zawsze już nie zmilkły o mnie usta ludzkie! czemuż opuszczałem te ciche mury, w których tyle doznawałem pociechy i pokoju. Niezadługo potém, gdy na zawsze wyrzekłem się pychy, zuchwały kusiciel, co niegdyś przed Chrystusem rozwijał skarby świata, nawiedził moją celę, w postaci przyjaciół, którzy przynieśli mi wieść o śmierci Kazimierza W., a zarazem nadzieję odziedziczenia jego tronu; zrazu opierałem się piekielnym podszeptom, lecz w końcu uległem im... i cała Wielkopolska zalała się krwawéj domowéj wojny potokiem. Daremnie zastępy orężne węgierskiego Ludwika stawały na poprzek méj drogi, daremnie Sędziwój z Szubina bronił mężnie powierzonego sobie kraju, zewsząd u stóp mych padały warownych zamków bramy!. . . . Nagle wśród spoczynku po krwawym znoju, zjawiła mi się załzawiona postać Kunildy, błagając, abym zaprzestał bratniéj krwi przelewu.

„Odgadniecie łatwo, że widok mego dobrego anioła, obudził w sercu szlachetne uczucia. Dręczony srogiemi wyrzuty sumienia, rozpuściłem

wiernych mych żołnierzy, i zamknąwszy się w odludnym Ordzińskim zamku, trwałem tam rok cały na modlitwie, pokucie i pobożnych dumaniach. Namowy przyjacioł, którym zawsze posłuch dawał chciwy wojennéj sławy i nowych wrażeń duch, wywiodły mię znów pod obronne mury Złotoryi; z łatwością zdobyłem zamek i wziąłem w niewolą starostę Krystyna. Wiadomo wam dobrze, jak potém wiele jeszcze krwawych toczyłem zapasów, jak raz opuściło mię szczęście, i w rybackiéj łodzi ratować się musiałem, uchodząc Wisły korytem... Chęć pomsty za doznane upokorzenie, była mi zachętą do nowych podbojów; skoro jednakże zagarnąłem to com miéć pragnął, zbrzydł mi nagle ten żywot krwawy, oraz wszystko co ziemskie i marne."

Tu książe wsparł na ręku znużoną głowę i milczał przez chwilę ponuro, poczem znów rozpoczął przerwane opowiadanie.

„Snać zdało mi się tylko wtedy, żem wolen już od pychy wszelkiéj, skoro w chwili gdy zwracałem me zdobycze w ręce namiestników

królewskich, położyłem im za warunek, że opuszczę kraj mój ze czcią przynależną rycerzom. Przed zwodzonym mostem zamku Złotoryi, czekał na me żądanie zbrojny od stóp do głowy Bartosz z Sokołowa, i dopiero zmierzywszy się z nim w pojedynku, opuściłem ojczyznę. W klasztorze Benedyktynów na Węgrzech gdzie schroniłem się z razu, znów opanowały mię srogie pokusy, znów probować chciałem szczęścia w świecie, aż złamany burzą, przywlokłem się w sukni pątnika na francuzką ziemię, w któréj zawsze rad gościłem. Powiedźcież mi teraz wielebny ojcze, azali mogę jeszcze miéć nadzieję odpuszczenia ciężkich win żywota, azali przyjęty tylo krotnie, i tylokrotnie opuszczający dom ojca, marnotrawny syn, może znaleźć łaskę przed Jego oczyma?

— W dniu spotkania mego z wami, zwątpiłem o miłosierdziu Bożém, i ponura rozpacz ogarnęła mą duszę: zdało mi się, że nie ma już dla mnie zbawienia; gdy nagle w obłokach dymu kadzideł lekko jak westchnienie, przesunęła się jasnowłosa moja Kunilda, i wyciągnęła ręce ku mnie z słod-

kim uśmiechem, jak gdyby podobném było, abyśmy się kiedyś połączyć mieli!"

Wymówiwszy te ostatnie słowa Biały książe westchnął głęboko i zamilkł zakrywszy twarz rękoma.

— Bóg z tobą, synu mój,—ozwał się wtedy ksiądz Janko,—ażalisz nie jest ci wiadomem, że nie za sprawiedliwych, jeno za grzeszników Najmiłosierniejszy ukrzyżowan był? Aby wypełnić przepaście złego, Pan pasiada skarby miłosierdzia. Na progu wieczności, pomiędzy duszą człowieka a jéj Stwórcą, odprawują się tajemnice sprawiedliwości, lecz i miłości zarazem!

* * *

W kilka lat po oném spotkaniu w Avignon, gnieznieńskiego archidyakona z gniewkowskiém księciem w kościele Benedyktanów w Dijon, wzniósł się marmurowy grobowiec, którego napis wskazywał, że tam pochowan jest Władysław Biały spędziwszy w bogobojności i ostréj pokucie ostatki burzliwego żywota. Ksiądz Janko powróciwszy do kraju, spisał w swéj kronice dziwne wypadki, które z ust jego niegdyś posłyszał.

ŚWIĘTOSŁAW.—OJCIEC RAFAŁ.—JAN DĘBIŃSKI.—MICHAŁ BUŻEWSKI. KAŹIMIERZ KORSAK.

ŚWIĘTOSŁAW.

W czasach gdy polska ziemia chlubiła się ze świętych swych synów, gdy Izajasz Boner, Szymon z Lipnicy i Stanisław z Kaźmierza, pociągali ku sobie tłumy wiernego ludu, żył w ubogim domku starego Krakowa pobożny młodzieniec, poświęcający pracę rąk swych, ku wspomożeniu tych którzy już pracować nie mogli. Od świtu do nocy robił obuwia dla mieszkańców przedmieścia, nie gardząc i innym choćby najlichszym zarobkiem, aby tylko przysporzyć kalekom i starcom. Dla siebie nic nie zostawiał, i zdarzało się nawet często że dzień cały przeszedł mu o chlebie i wodzie, a mimo to uśmiechał się wesoło i widno było że nie czuł głodu, skoro ci dla których pracowałna-

syceni byli. Młodzieniaszek ten, który służyć nam może za jasny wzór miłości bliźniego, pochodził z ubogiéj wieśniaczéj rodziny, ze wsi Sławkowa. Na chrzcie dano mu imie Świętosława, jakoby przeczuwając że świętem życiem zasłuży się Bogu i ojczyźnie. Chociaż w pierwszem dzieciństwie nie rozwijano mu pojęcia nauką, zaledwie wstąpił w progi życia, zrozumiał wyższy cel jego i starał się ciągle postępować w doskonałości.

Nie raz zajmując się robotą dla pożytku bliźnich, marzył jakoby rad kiedyś pracować w winnicy pańskiéj, i duszom nieśmiertelnym wskazywać drogę do nieba. Gdy jednakże wspomniał na swą prostotę wzdychał boleśnie, sądząc że nigdy nie zdoła nabyć nauki, potrzebnéj do kapłańskiego stanu.

Z czasem silniéj jeszcze wzrosła w jego sercu chęć poświęcenia się Bogu, i trapił się srodze że jéj uczynić zadość nie może, gdy Pan natchnął go odwagą i nadzieją, wzbudzając mu cudowne widzenie.

Pewnego razu zerwał się ze snu wnocy, sądząc że dzień już świta na niebie. Wyszedł po za próg domu aby się o tem przekonać, aż tu dziwna jasność uderzyła mu w oczy. Nie było to jaskrawe światło słonecznych promieni, ani też księżyca blask srebrzysty i mgławy—widzenia tego porównać nie można było ani z dniem ani z nocą, ani z porankiem ani z wieczorem; sądziłbyś tylko że wszystkie wschodnie perły i tęczowe opale okryły sklepienia niebios aby przyświecać ziemi. W śród tego pełnego tajemnic blasku przechadzał się lud mnogi, w odzieży z dawno ubiegłych wieków. Byli tam starce i młodzieńcy, piękne niewiasty i poważne matrony, kapłani i zbrojni rycerze; wszyscy ciągnęli niby na uroczystość jaką do królewskiego zamku na Wawelu. Jedni żwawym pomykali krokiem, drugim z trudnością przychodziło im sprostać, dokładali jednakże wszelkich ku temu usiłowań, i zdarzało sie nie raz że jednocześnie stawali u kresu podróży. Radowali się wtedy i składali dzięki Panu że ich wesprzeć raczył.

Nagle wśród tego wędrownego tłumu, ukazał się mąż piękny i poważny w biskupiéj odzieży. Śmiałym i pewnym krokiem stąpał pomiędzy ludem błogosławiąc mu wtę i w ową stronę. Skoro się zbliżył do domku Świętosława i przechodził tuż około niego, taka jasność olśniła wzrok młodzieńca, że pochylił się ku ziemi i upadł na kolana. Gdy cały orszak oddalił się trochę, powstał i pobiegł za nim zdjęty niewymowną ciekawością.

— Powiedźcie mi kto jesteście, kto jest ów święty biskup, wołał za odchodzącemi— jeden ze starców odwrócił się wtedy i rzekł:

— To jest Stanisław biskup Krakowski, a idący wedle niego, to lud wiernych synów kościoła i ojczyzny którzy nie zrażają się w pokonaniu trudów, gdy chodzi o chwałę Bożą i dobro rodaków. Biskup Stanisław opiekuje się ludźmi dobréj woli, i błogosławi im po wszystkie wieki wieków.

Zadumał się bardzo nad tą odpowiedzią Swiętósław, bo zmiarkował wtedy że wszystko co

widzi, jest tylko snem na jawie. Jakoby na potwierdzenie tych domniemań, znikła nagle dziwna jasność i zwyczajna jutrzenka poczęła świtać na niebie.

Długo przy codziennéj pracy nie mógł zapomnieć widzenia swego młodzieniec, rozważając je pilnie, nabrał otuchy do pokonania wszelkich trudności, aby służyć Bogu w kapłańskim stanie.

Począł najpierw uczęszczać do szkół, a gdy żarliwie przykładał się do nauk w kilka lat osiągnął cel swych życzeń. Zajął się wtedy pracą około udoskonalenia tych, którzy mu powierzali kierunek swego sumienia. Rozmawiał zawsze tylko o rzeczach tyczących się wiary i zbawienia, zaś co do innych przedmiotów uczynił szlub milczenia. Ulubiony od świętych mężów którzy żyli w owym czasie, ukochany od ubogiego ludu, przed śmiercią taką zasłynął świętobliwością, że z ufnością polecano się jego modlitwom. Umarł w r. 1489 pochowany jest w Krakowskim kościele Panny Maryi.

OJCIEC RAFAŁ.

Świątynia na Wawelu napełniła się mnogim ludem. Około wielkiego ołtarza, w krużganku przybranym w tureckie kobierce, zasiadł najjaśniejszy Zygmunt pierwszy, obok niego królowa i księżniczki, na dole zaś w ławkach kościelnych pozajmowali swe miejsca panowie i niewiasty dworskie, oraz inne męże rycerskiego i mieszczańskiego stanu, i wnet biskup krakowski rozpoczął świętą ofiarę. Wszyscy wierni łączyli swe prośby z modłami pobożnego pasterza, i aż miło było spojrzeć po onym wielkim i pięknym kościele, oświeconym przyćmionem swiatłem, taki tam ład cichy panował pomiędzy tłumem, taka żarliwość duchu jaśniała na wszyst-

kich obliczach. Przeniesiono księgę świętą na drugą stronę ołtarza i wszyscy powstali jakby jeden, i szable zabrzęczały wznosząc się ku wiary obronie. Po odczytaniu Ewangelii znów wielka nastąpiła cisza, lud wszystek upadł na kolana i błagał Pana w pokorze aby przyjął wielką ofiarę ku wielkich win zmazaniu. Nagle szmer przebiegł po całem zgromadzeniu i każden zwrócił oczy na kazalnicę, w któréj ukazał się blady zakonnik, o smętnem i głęboko zadumanem obliczu. Cóż cudowniejszego nad potęgę wymowy? Kapłan obdarzony nią wstrząsa i przenika najtwardsze serca, obracając je w ręku niby wosk mięki któremu nadaje wymarzone przez się kształty.— O błogosławione, stokroć błogosławione usta obdarzone tą siłą słowa żywego, bo zdrój jéj nie może jak tylko z czystego płynąć serca!

Skoro na kazalnicy Wawelskiéj rozległy się piorunne słowa, któremi ubogi zakonnik gromił możnych tego świata, taka cisza zaległa świątynią że rzekłbyś że stłumiono oddechu, aby nie stra-

cić ani cząstki zbawiennéj nauki. Wszyscy przejęci byli głębokiem i trwożnem wzruszeniem, sam król nawet ocierał niekiedy łzę spływającą po licu i nie jednym ruchem dał poznać jak uwielbiał wymowę kaznodziei.

Skoro zbawiena nauka ukończoną została, każden prawie z obecnych ślubował poprawę z błędów, o które tak mądrze i śmiało strofował sługa pański. Ślub ten uczyniony w głębi duszy, stał się nie jednemu zaczątkiem nowego z Bogiem żywota.

— Któż jest ten zakonnik o bladem czole, który przemawia tak dzielnie i gorąco do ludu, mówił jeden z panów, wychodząc po ukończonem nabożeństwie.

— Ot znać zaraz żeście niedawno w Krakowie odparł zagadniony, wszak ci to nasz Rafał z Proszowic, godny uczeń Szymona z Lipnicy i wielkich cnót jego nasladowca.

— Czy tak? no to nie dziw że tylu przeniknął do żywego—Słyszałem że to mąż boży, powiedzciesz mi azali możnaby poznajomić się z nim bliżéj?

— Nic łatwiejszego, — pełen prawdziwéj chrześcijańskiéj pokory, ojciec Rafał niewzbrania do siebie przystępu nikomu, jest zawsze w swéj celi o ile tylko potrzeby bliźnich nie wywołują go po za mury klasztoru, zastaniecie go pewnie dziś w wieczór panie starosto.

— Dziękuje wam cześniku, dziwny czuje pociąg do tego zacnego kapłana, może też Bóg da że za znajomię się z nim lepiéj!—

Starosta Mielsztyński był panem licznych włości i słynął z wielkiego animuszu do hulanek i biesiad, oraz z niesłychanie surowego, a często nawet niesprawiedliwego obejścia z podwładnymi swemi. Mowa Rafała z Proszowic poruszyła go do głębi duszy, stanęło mu przed oczyma całe ubiegłe życie, i przestraszył się sam siebie.

Nie dawno poniósł był jedno ztych wielkich nieszczęść, które wstrząsając całą naturą ludzką, usposabiają serce do przyjęcia wszelkich wrażeń przynoszących ulgę żałości Kto wie, pomyślał sobie, może też znajdę pociechę po stracie miłéj żony w rozmowie tego świętobliwego zakon-

nika, może postępując za jego radą, uzyskam choć trochę tak już dawno utraconego spokoju sumienia.

Rozmawiając podobnie sam z sobą zaszedł starosta do komnat które zajmował na zamku królewskim, będąc w gościnie u jednego ze swych krewnych, możnego pana dworu. Zastał tam już gości zebranych gromadnie przy dniu swiątecznym.—Nie w smak był staroście tłum ochoczy i gwarny, rad był pozostać czas jaki samotny ze swemi myślami, chciał nawet wymknąć się niepostrzeżony na odludną przechadzkę, aliści uprzejmny gospodarz odgadłszy jego zamysł nie dopuścił tego.

Musiał zatem podzielać rozmowy gości i zarazem przyjmować puchary krążące do koła. Z początku nie mile go raził ten przymus, lecz nawykłemu od dzieciństwa do uczt i biesiad wkrótce stał się znośny, i powoli, znikać poczęły ranne wrażenia.

Po drugiéj stronie zamku siedział w swéj komnacie król Zygmunt, wpatrując się w ogień pło-

nący na kominie, trzymał w ręku zieloną sobolem obłożoną czapkę, obracając ją w około w zamyśleniu. Odwrócił głowę gdy zaskrzypiały uchylające się drzwi swietlicy i niebawem powstał z siedzenia, wyciągając ręce do Rafała z Proszowic, który zjawił się w progu.

— Witajcież mi wyrzekł, obejmując go w swe ramiona w bratnim uścisku—Czemuż tak późno dziś przychodzicie? chcieliśmy wam powiedzieć prędzéj, jak dzisiejsza mowa wasza słodko nam wpłynęła do uszu i serca.

— Miłościwy królu odparł skłaniając się zakonnik, zatrudnienia moje zatrzymywały mię w klasztorze, choć dusza rada była ulecić do waszéj rozmowy.

— No siadajcież teraz bo o dużo rzeczy mam was dziś rozpytywać wielebny ojcze, sądzę że tak jak zawsze nie odmówicie mi rady, boć to w sprawach sumienia nie łacno co począć samemu.

Ojciec Rafał usiadł na wezwanie królewskie i długą a wdzięczną rozpoczął rozmowę. Zygmunt

otwierał w niéj wszystkie skrytości swéj duszy, kapłan zaś wypowiadał prawdę królowi, z tą samą stotą i mocą, z jaką napominał jego poddanych.

Tymczasem starosta Mielsztyński na dobre już zapomniał wrażenia doznanego w kościele, i chcąc w dniu następnym opuścić stolicę żegnał serdecznie wesołych towarzyszy.

Wyobrażania jego inny całkiem przybrały kierunek.—Ba! mam się frasować i trapić, mówił sotak, czy to długie życie ludzkie? ot poruczę temu i owemu zarząd włości, a sam osiądę w Krakowie, alboć to nie lepiéj pochulać sobie w gronie przyjaciół, niżeli kwasić się i trudzić gospodarząc na zagonie.—Czy to mi żona, czy dzieci dokuczają, żebym sobie nie miał pieniędzy wesoło prze trwonić?

Tu wspomnienie żony zasępiło go trochę; wyszedł jednakże wraz z gospodarzem wyprowadzać gości wśrod wesołych okrzyków i spiewów. Szli razem do sieni zamkowéj, gdy nagle starosta zadrzał i cofnął się zdziwiony. Blady zakonnik o zadumanem czole zjawił się w pośród biesiadników

Wszyscy umilkli i z poszanowaniem witali Rafała z Proszewic, który właśnie wtedy opuszczał komnaty królewskie.

Starosta stał z początku za drugiemi, dopiero gdy się odsunęli zdala, przystąpił do Kapłana i rękę jego do ust swych przycisnął.

— Pokój z tobą synu mój, powiedz czego żądasz, ozwał się tenże, odgadując, że mu znów pokutnik przybywa.

— Pragnę otworzyć wam wielebny ojcze wszystkie tajniki méj duszy. Słowo Boże które dziś głosiliście z kazalnicy, wdzięcznie przypadło mi do serca, radbym znaleść dobrą radę, albowiem w życiu mem więcéj błędów i występków, aniżeli ziarnek piasku w klepsydrze.

— Dzięki niech będą Panu że natchnął cię swym duchem swiętym, odrzekł ojciec Rafał, przyjdź do mej celi a przyjęty będziesz chętnem sercem.

Starosta ucałował znów rękę zakonnika, i rozeszli sie oba w zamyśleniu o dniu jutrzejszym.

Pan Mielsztyński któremu widok Ojca Rafała

powrócił wszystkie dobre postanowienia, gotował się do wyspowiadania win swych z żalem i skruchą, kapłan zaś dziękował Bogu za nowo nawróconego na dobrą drogę, i modlił się aby słowa jego i nadal zbawienny na nim wpływ wywarły.

* * *

Zwiedzając w kilka lat potem włości starosty Mielsztyńskiego, jeden z jego dawnych przyjaciół, nie mógł się dość nadziwować zmianie jaka wnim zaszła.

Starosta opiekował się ludem wieśniaczym wypełniając swe obowiązki względem niego z polubieniem i miłością—rozdawał hojne jałmużny, i wspierał ubogą bracią szlachtę we wszelkich jéj potrzebach. Gdy ów przyjaciel pytał skąd w jego sercu tyle litosci i miłosierdzia skoro przed tém zajęty był jedynie zadowolnieniem siebie samego? Odpowiedział wznosząc wzrok w niebo.

— Pytaj oto nie mnie lecz Rafała z Proszowic.

Wistocie od czasu w którym ujrzał po raz pierwszy w Krakowie pobożnego zakonnika i czerpał zawsze w jego rozmowie wszelką otuchę do dobrego.

Jedną razą dano mu znać że ojciec Rafał zapadł śmiertelną złożony niemocą w klastorze w Warcie, udał się tamże niebawnie aby być obecnym jego ostatnim chwilom. Widok przejścia sprawiedliwego w progi wieczności, umocił go jeszcze na duchu. Opuścił klasztor przejęty świętością wiary która takich ma służebników, pierw jednak w dowód swéj czci dla bogobojnego kapłana, rozkazał wyryć na grobie jego napis który po dziś dzień istnieje.

Tu leży mąż wybrany
Rafał z Proszowic rządzca i ozdoba braci
mniejszych.
Bóg ozdobił go wielkiemi dary za życia.
Teraz zaś błogosławionym okazuje przez
cudowne znaki.

JAN DEBINSKI.

W miłościwe lato 1535 r. kilku synów możnych rodzin polskich, zwiedzając włoską ziemię zjechało do Mediolanu. Zaledwie otrząsnęli podróżny pył z odzieży, jęli rozpytywać gospodarza swego o osobliwości godne widzenia w temże mieście, a ten nuże im rozpowiadać dziwy niesłychane, dla rozpoznania których bardzo długiego potrzeba było czasu; zwyczajnie prawił, aby podniecić ciekawość wędrowców i zachęcić ich w ten sposób, żeby dłużéj zamieszkali w jego gospodzie.

Młodzieńcy słuchali z zajęciem tych opowieści, dając im zupełną wiarę; jeden z nich tylko nie wtrącał się do rozmowy, zatopiony cały w czy-

taniu jakiejś grubéj księgi, którą snać woził ze sobą.

— Pan kasztelanic krakowski, coś więcéj zajęty tą starą księgą, aniżeli nowościami które napotykamy w naszéj wędrowce, ozwał się z przekąsem jeden z młodych.

— Wartoż było zrobić tyle mil drogi, aby gdzie tylko przybędziemy, siedzieć jak mnich w celi, zawołał drugi.—No panie Janie, porzućcie te szpargały i chodzcie się przejść z nami.

— Nie uczynię tego w obecnéj chwili, — odparł zagadniony —albowiem pierwsze kroki moje w tém mieście skierowane będą ku temu, którego całą duszą zaznać oddawna pragnę.

— O kimże znów mówić chcecie? zawołali razem młodzi.

— A toć nie o kim innym, jeno o mężu świętobliwym, który słynie tutaj na biskupiéj stolicy.

— A więc to Karol Boromeusz tyle was zaciekawia?

— I nie dziw, bo pan Jan sam ma wszelkie usposobienie do kapłańskiego stanu.

— Trzeba by tylko przed święceniem wyprosić pozwolenie narzeczonéj.

— Zaręczam, że panna Zofija nie dałaby się ku temu skłonić!

Gdy tak młodzi towarzysze kolejno żartowali, Jan, nic nie odpowiadał, tylko czytał daléj, i nie prędzej zamknął księgę, aż wyszli namiasto, pozostał on sam w gospodzie. Wtedy dopiero zajął się poprawą swego ubioru, a potém zaraz wyszedł na ulicę. Rozpytując się tu i owdzie przechodniów o drogę, zmierzał prosto do arcybiskupiego pałacu. Gdy już doszedł do kresu swéj wędrówki, ujrzał gmach obszerny, podobny raczéj do klasztoru, aniżeli do jednéj z tych wspaniałych rezydencyi, jakie w owym czasie posiadali możni. Tłumy ubogiego ludu cisnęły się do koła a każdy z łatwością przystęp znajdował, i nie było tam powiedziane, że arcybiskup o téj lub owéj godzinie zajęty jaką ważną pracą, nie może być widzialnym, albo-

wiem gotów on był przerwać nawet nocny spoczynek, skoro chodziło o przyniesienie rady lub pomocy bliźniemu. Życie jego całe stosowało się do słów które wyrzekł późniéj, gdy go namawiano aby uchodził z Medyolanu w czasie panującéj tam zarazy:

„Dobry pastérz, życie daje za owieczki swoje."

Ów wzór biskupów i możnych panów, urodził się w Arona w pobliżu miasta Medyolanu kędy późniéj zajaśniały jego cnoty. Syn znakomitéj rodziny, w młodym jeszcze wieku wzgardził wszelkiemi ponętami ziemi, i wszedł do stanu duchownego, rzadka pobożność, wielka żarliwość ducha, i dziwne zdolność w kierowaniu sprawami publicznemi, wyniosły go wcześnie do najwyższych godności w kościele. Zostawszy kardynałem i biskupem Medyolanu, skłonił innych biskupów i książąt, do prędkiego ukończenia Soboru Trydenckiego, i ogłoszenia jego wyroków. Pragnąc aby zaprowadzone wtedy zmiany tyczące się poprawy obyczajów, wnikały w życie ludu, zaczął najpierw do przemiany samego siebie.

Zrzekł się wszelkich kościelnych dochodów, najniewinniejsze rozrywki zastąpił ważniejszemi zatrudnieniami, zaniechał szat jedwabnych i do tego stopnia posunął wstrzemięźliwość, że żył tylko chlebem jarzynami i wodą. Zwiedzał często obszerną swą dyecezyą, dosięgając aż do najgłębszych dolin Gryzonów i Szwajcarów, którzy należeli do jego prowincyi duchownéj; zwyczajem apostolskim odbywał te wycieczki pieszo, znosząc odważnie przykre zmiany powietrza, niewywczas głód i pragnienie. Znane jest powszechnie poświęcenie jego podczas zarazy w Medyolanie. Ażeby przynieść ulgę cierpiącym, sprzedał wtedy nietylko swe dobra, lecz wszystkie najpotrzebniéjsze sprzęty; wiadomo jak późniéj korzystając z przerażenia które wywołała straszna klęska, zbawiennie działał na ogólną poprawę obyczajów. Założył w potem mieście Pawii kolegium, w którem młodzi obok czujnéj straży nad moralnością, znajdowali sposobność kształcenia się na ludzi użytecznych. Zakład ten znany pod imieniem Boromeusza wyświadcza dotąd ważne przysługi ojczyznie założyciela.

Serce Jana uderzyło głębokiém wzruszeniem gdy skłonił się do nóg bogobojnego męża którego sława rozgłośną wtedy była w świecie. Tęskna powaga jego oblicza opromienionego łagodnym blaskiem; przemawiała już silnie do duszy młodziana; cóż dopiero, gdy święty biskup w dłuższéj rozmowie, otworzył mu skarby swéj mądrosci. Swiadomy tajników serca ludzkiego, Karol Boromeusz rozpoznał natychmiast w młodym cudzoziemcu duszę miłującą nadewszystko Boga, a nie pewną drogi, jaką ma wybrać sobie w tém życiu; dozwolił mu przeto odwiedzać się częściéj przez czas pobytu w Medyolanie. Jan nie przepomniał korzystać z pozwolenia, które najwyższą napełniło go radością, w krótce otworzył przed świętym wszystkie skrytości swéj duszy.

— Ojcze świętobliwy,—mówił razu jednego w poufnéj rozmowie,—dozwólcie mi już porzucić to życie w pośród świata, które i coraz więcéj cięży; radbym w prawdzie zadowolnić mą rodzinę, postępując gwoli jéj życzeniom, aliści nie

czuję w sobie sił po temu.... czyż nie lepiéj, że postanowienie moje wyciśnie teraz łzy z oczu młodéj méj oblubienicy, aniżeli gdyby późniéj wylewać je miała, skoro w związku zemną nie znajdzie szczęścia które sobie obiecuje?

— Synu mój,—odparł smętnie biskup, wszak wspomniałeś, że dziewica, z którą za wolą rodziców zamieniłeś pierścień narzeczonych, ukochała cię tkliwie. Bóg nasz nie jest mściwym Bogiem pogańskim, jeno najwyższą miłością i miłosierdziem; godziłożby się zatém, abyś w Jego Imię niszczył bluszcz wątły, który żyje może jedynie nadzieją wsparcia się kiedyś na twém ramieniu.

— Ale Ojcze mój! cóż mam począć, skoro dusza moja rozgorzała taką miłością dla Mistrza naszego, że miłość ta pochłnęła wszystkie ziemskie uczucia!

— A więc dla tego właśnie spełnij swiętą powinność, weź krzyż twój i dźwigaj go mężnie nie myśląc że wolałbyś inny; będzie to najwyż-

szy dowód miłości, jaki dać możesz Bogu twego serca!

Jan nic już nie odrzekł, tylko smutnie opuścił głowę, gdyż w ten spoób zawsze odpowiadał mu arcy-pasterz, ilekroć mówił, że pragnie porzucić kraj rodzinny i narzeczoną, aby się poświęcić służbie Bożéj. Częstokroć nawet dusza która najgoręcéj ukochała Boga, omdlewa skoro iść musi drogą przeciwną swemu powołaniu; lecz właśnie w mężnem przebyciu téj drogi, prawdziwy jéj spokój leży: a czegożby więcéj potrzeba do szczęścia na ziemi, gdyby tylko każdy mógł wybierać to, co mu najsnadniéj przypada do serca, gdzież byłaby wtedy zasługa?

Z wielkim żalem Jana, towarzysze jego już zamierzali się puszczać w dalszą drogę, aby niezadługo powrócić do kraju. Wybierał się tedy z niemi rad nie rad, gdy nagle wiadomości odebrane z ojczyzny, zmieniły postać rzeczy. Pan Dębiński, kasztelan Krakowski, i kanclerz W. koronny, donosił własnoręczném pismém, synowi że panna Zofia Dzierżanowzka, starościanka chełmska,

jego narzeczona zaniemogłszy raptownie, po krótkiéj chorobie przeniosła się do wieczności. Zbladł i zachwiał się młodzieniec, skoro wieść tę wyczytał.

— O Zofio! — rzekł z uczuciem niekłamanego żalu za przyjaciołką swych lat dziecinnych, snać Bóg sam chciał, abyśmy złączyli się dopiéro w wieczności. Czysta i tkliwa duszo! czuwaj nademną, a ja nawzajem nie zapomnę cię u Pańskich ołtarzy!

Skoro wten sposób zerwany został jedyny węzeł łączący go ze światem, Jan Dębiński sądził że wyraźną jest wolą Opatrzności, aby się nie sprzeciwiał dłużéj swemu powołaniu. Rozporządziwszy zatém majątkiem, rozpoczął niebawnie nowicyat zakonnego żywota; położył on już przedtém zasługi w kraju, dla których pomimo młodego wieku, obrany był posłem na sejm, i obdarzony starostwem Lutomskiem. Pan kasztelan krakowski, wolałby był bezwątpienia widzieć syna postępującego na drodze światowych zaszczytów; mając jednak w domu, oprócz niego, siedmiu wy-

rostków, nie opierał się długo pobożnym zamysłom młodziana, nadesłał mu swe uroczyste przyzwolenie, w czasie, gdy kończył nowicyat, po którym Karol Borómeusz miał zlewać na głowę jego kapłańskie namaszczenie.

* * *

W pięknéj okolicy Szwajcaryi, rozszeżyła się w ubogim klasztorze Kapucynów ciężka gorączkowa choroba, wielu zakonników i nowicyuszów nie powstało z łoża boleści, inni zaś dopiéro po długich cierpieniach przychodzili do zdrowia. Kapłan który w owym czasie przeznaczony był do posługi i dozorowania chorych, podejmował swą pracę z niezrównaną cierpliwością i słodyczą.

Wszyscy ci, którym przynosił ulgę w cierpieniach, tak troskliwém pielęgnowaniem, jak świętobliwą, ukrzepiającą ducha rozmową, opłacali mu jego poświęcenie miłością i zaufaniem bez granic. Ilekroć ukazał się pomiędzy chorymi, natychmiast każdy pragnął go mieć przy sobie.

— Bracie Janie —wołał jeden —zbliż się do mnie, skoro dotknę twéj szaty, zmniejszy się może gorączka, która mię dręczy.

— Bracie —mówił drugi—połóż mi rękę na czole, bo w głowie srogie cierpię bóle.

— Bracie, przemów do mnie, bo mi ciężko na sercu—rzekł trzeci.

— Bóg z wami, mili bracia! — odpowiedział Jan —módlmy się w pokorze, aby Bóg przyniósł ulgę waszym cierpieniom, gdyż On tylko sam mocen to uczynić.

— O bracie świętobliwy, my wiemy, że nic nie dzieje się bez woli Boga; lecz wiemy równie, jaką łaskę macie przed Jego oczyma. Wszakże to wczoraj brat Feliks widział, jak przy modlitwie, promienista korona otoczyła wasze skronie.

— A któż na równi z wami zdolny martwić swe ciało?

— A czyjże duch więcéj oderwany od ziemi?

— Alboż to raz,—przerwał znów innny,—Pan usty waszemi uchylił nam ciemną zasłonę przyszłości?

— O bracia moi! cożem wam uczynił? — zawołał Jan, składając błagalnie ręce, — czemuż słowami pochlebstwa niby rozpalonem żelazem ranicie me serce? Modlę się i karcę ciało, które tyle lat przeżyło w dostatkach bo wiem, jak nie łacno, grzesznik, osięgnąć może zbawienie. Jeśli niekiedy Pan dozwolił mu opowiadać wam rzeczy przyszłe, uczynił to dla swéj większéj chwały, a nie dla mojéj zasługi nie możecie przeniknąć tajni méj duszy, nie wiecie zatém, ile w niéj jeszcze gorzkich mętów i słabości ziemskich dla czegoż więc dręczycie mię pochwałami waszemi?

W całéj postaci Jana było tyle prawdziwej żałości, że wszyscy umilkli przejęci czcią głęboką dla zasługi, która opromieniona anielską pokorą, tym czystszym jaśniała blaskiem. Jan Dębiński, po kilkonastoletniém pobycie w zakonie i ciągłém doskonaleniu się w najwyższych cnotach, tak widocznie napiętnowany został łaską Bożą, że ze wszech stron lud pobożny przybiegał polecać się jego modlitwom, alboli też zasięgać rady. Wzorem świętego me-

dyolańskiego biskupa, nie odmawiał nikomu pomocy, i wszystkich strapionych rad przytulał do serca. Cudzoziemiec z dalekiéj krainy, zyskał prawo obywatelstwa w duszy tych, którym świecił jasnym drogoskazem w wędrówce żywota. Widywał od czasu do czasu Karola Boromeusza, a były to zawsze chwile bardzo wdzięczne dla ucznia i mistrza; dusze ich znać połączone być musiały jakimś tajemniczym węzłem, bo w jednym prawie czasie powołane zostały po wieniec zasługi.

Nie jeden z naszych rodaków, podziwia piękne okolice Szwajcaryi, nie wie pewno, że w pośród tych gór wyniosłych i zwierciadlanych jezior, spoczywają zwłoki bogobojnego brata, którego cnoty przemawiają za nim do Boga,

---

MICHAŁ BUŻEWSKI.

W pogodny wieczór jesienny 1604 r., młody wędrowiec okryty skromnéj barwy szatą, marzył na zwaliskach Collosseum; odwieczne miasto oświecone tajemniczym blaskiem księżyca, rozpostarte było u stóp jego. Na widok tego lasu starożytnych pomników i świątyń, mimowolnie zapomnieć musiał obecnéj chwili, aby przenieść się myślą poza mgłę ubiegłych wieków; widział tam pyszne gmachy pogańskiéj Romy, a wśród nich snujące się zniewieściałe postacie patrycyuszów. Szumiały uczty Heliogobala przy odgłosie dźwięcznéj muzyki i szmerze wodotrysków z wonnych pachnideł, deszcz z kwiatów spadał na głowy biesiadników spoczywających na wezgłowiach złotolitych,

tłumy pochylonych kornie ku ziemi niewolników śledziły ruchy swych panów, wróżące im śmierć lub życie; odwrócił oczy młodzieniec od tego poniżającego ludzkość obrazu, i spuścił je ku ziemi, w głąb amfiteatru, ale i tam równie przejmujące zgrozą jawiły mu się widziadła. Bladzi gladyatorowie skłaniali się przed tronem władzcy, mówiąc: Umierający pozdrawiają cię Cezarze!" i szli ginąć w morderczéj walce, któréj przyklaskiwał lud cały; gdy upadli, Cezar skinął ręką, i wyniesiono umarłych, a miejsce ich zajęły nowe ofiary jaśniejące wytrwałą niewinnością życia lub świętością surowéj pokuty, ozwał się ryk lwa, króla pustyń Numidyi, lub stłumione warczenie Libijskiéj pantery, i w jednéj chwili krwawe szranki pokryte zostały szczątkami męczenników. Lud zaślepiony znów przyklaskiwał radośnie, a dusze wybrane przeczuwające królestwo prawdy, ze zgrozą i żałością odwracały oblicze, wzywając objawienia się Boga, którego przyjścia oczekiwały.

I oto Pan wysłuchał ich wołania—posiew krwi męczęńskiéj obfite wydał plony, coraz nowe hufce

jawiły się do walki przeciw złemu. Prosty rybak galilejski rozpoczął najpierw zapasy ze światem zepsucia i zbrodni—za całą zbroję, nosił kij podróżny i torbę żebraczą. „O Panie! wołano zewsząd, cóż on zyskać może ubożuchny i słaby naprzeciw sprzymierzonéj całego piekła potędze?" A Pan odrzekł: „Jam jest prawdą i życiem, kto we mnie uwierzy, zbawion będzie."—I ziściło się—prosty rybak pokonał w imie Pańskie pogańskiego olbrzyma, siedliska niecnych uciech stały się przybytkami czystości i miłosierdzia, obywatele drugiego Babilonu życie nieśli za prawdę która im zaświeciła z nieba, a wdowy ich zamieniwszy złociste osłony na czarne obrąbione krwawą taśmą szaty, jaśniały blaskiem cnót wielkich. I w końcu nie było już w starym Rzymie ani niewolników ani panów, ani ciemiężców, ani ciemiężonych, tylko bracia w nadziei, miłości i wierze, ponad głowami których Krzyż wyciągał swe święte ramiona.

Właśnie w owéj chwili marzeń, młodego cudzoziemca, jasny promień księżyca oświecił godło zbawienia, zatknięte w pośrodku Colloseum,

w ziemi krwią pierwszych chrześcian przesiąkłéj; łagodne i blade oblicze Ukrzyżowanego, pochylone po nad opustoszałym cyrkiem, zdawało się wzywać do siebie młodzieńca. Ocknąwszy się z zadumy, padł na kolana, i składając kornie dłonie, ślubował w głębi duszy żyć jedynie dla miłości Chrystusa i pociągać ku niéj serca bliźnich swoich.

Bartłomiéj Dużewski, zamożny rajca lubelski, wysłał jedynego syna do obcych krajów, aby tamże wydoskonalił się w naukach, które ukończył chlubnie w swéj ojczyznie. Michał nie mało odniósł korzyści z téj podróży, wszędzie jednakże unikał zabaw i rozrywek światowych, lubując się najwięcéj w tém, co podnosiło ducha do Boga. Gdy przybył do Rzymu i ujrzał się otoczony pamiątkami minionych wieków, chęć wyrzeczenia się świata, którą żywił w sercu od lat dziecinnych opanowała wszystkie myśli jego silniéj jeszcze. Nazajutrz po wieczorze spędzonym w murach Collosseum, napisał do rodziców, że ma nieodmienne powołanie poświęcić się Bogu: błagał ich usilnie,

aby nie zasmucali jego serca, odmawiając swego zezwolenia ku temu. Rodzice, którzy o innéj marzyli przyszłości dla ulubionego syna, stranili się srodze tém postanowieniem; długo nie chcieli zezwolić, aby Michał wykonywał zakonne śluby, w końcu dopiéro zwyciężył ich swą stałością i pokorą.

Skoro tylko ukończył nowicyat, przyjął święcenie kapłańskie w klasztorze Karmelitów w Rzymie. Zakon ten składali początkowo pustelnicy przebywający na górze Karmelu, uważali oni za patryarchę swego proroka Eliasza, z powodu, że tenże równie jak uczeń jego Elizeusz, żył niegdyś na téj górze. W r. 1209, przełożony tych pustelników udał się do patryarchy Jerozolimskiego Alberta, z prośbą o nadanie im reguły, święty mąż wysłuchał tego żądania i oznaczył ustawy pełne mądrości. Zwycięztwa Saracenów zmusiły Karmelitów do opuszczenia Palestyny, na początku XIII wieku przenieśli się do Europy; byli oni jednym z najpierwszych zakonów, które Bóg powołał na obronę Kościoła przeciw ude-

rzającym nań sektarzom, rozszerzyli się w krótkim czasie, ważne oddając posługi społeczeństwu, z łona ich wyszło wielu mężów znakomitych nauką i cnotą. Do tych ostatnich z czasem zaliczył się Michał Bużewski, pracując pilnie w swym zawodzie, tak się odznaczył, że niezadługo oddano mu nadzór nowicyuszów, oraz miejsce professora teologii i filozofii. Gdy odprawiał świętą ofiarę, pobożnością swą, pełną prawdziwego zapału, nie raz do łez pobudzał przytomnych, cierpliwością, słodyczą i pokorą przewyższał wszystkich braci w zakonie.

Zdarzyło się wtedy, że król Zygmunt III sprowadził Karmelitów do Polski, ci zaś posłyszawszy jaką chlubę przynosi swéj ojczyznie młody zakonnik w Rzymskim klasztorze, poczęli czynić starania, aby go do siebie sprowadzić: opierał się temu długo przełożony Michała, nie chcąc wypuszczać świętobliwego brata: w końcu jednakże uledz musiał prośbom rodaków, i zwrócił go ojczystéj ziemi.

Szarawo jeszcze dzień świtał na niebie, gdy dzwony kościoła Karmelitów w Krakowie wzy-

wać poczynały lud do uczestnictwa w świętéj ofierze. Z pierwszym ich dźwiękiem sędziwy kapłan zajmował miejsce w bocznéj kaplicy aby tamże przyjmować wyznania tych, którzy przychodzili szukać rady lub pociechy w Sakramencie pokuty; oblicze starca piękne było wyrazem słodyczy, pokoju i poddania się woli Bożéj w srogiém kalectwie, jakiém był dotknięty; oczy jego bowiem okryte wieczną pomroką, nie podziwiały już cudów widomego świata. Pan chcąc jeszcze wyżéj podnieść wysoką doskonałość Michała Bużewskiego przy schyłku żywota pełnego zasługi, nawiedził go ślepotą; nie mogąc zatém w inny sposób być użytecznym bliźnim, od świtu do nocy słuchał spowiedzi. Przy wielkiéj nauce i świadomości rzeczy wiary, posiadał on głęboką znajomość serca ludzkiego; to téż tłumy ludu garnęły się ku niemu i wielki miał rozgłos w całym kraju skutecznością udzielanych rad i napomnień. Naznaczywszy każdą prawie dnia godzinę zbawienną pracą, późno wieczorem dopiero wracał do celi,

KAZIMIERZ KORSAK.

W wiekach wielkiéj gorącéj wiary, zjawiały się dusze umiłowane od Boga snać przed zaczątkiem żywota swego na ziemi, miłość łączyła je ze stwórcą nicią tajemniczą.

Żywot ten aczkolwiek sam w sobie pełen nędzy i boleści, wydawał im się zbyt małą ofiarą aby okupić wiekuiste szczęście.

Żądały cierpień nadludzkich i dręczone tém pragnieniem wolały wraz z błogosławioną dziewicą Teressą cierpieć albo umierać!

Jedne z nich porzucały przyjaciół, rodzinę, dostatki, dla zimnéj i samotnéj celi klasztoru, Drugie zaparłszy się same siebie w nagrodę trudów i poświęceń bez granic z radością znosiły od swych bra-

ci pogardę, nienawiść lub prześladowanie. Inne wreszcie szły w odludne pustynie, wśród palących żarów słońca i szponów dzikiego zwierza, w udręczeniach głodu i pragnienia, śpiewać Panu wielki hymn miłości i poświęcenia. Bóg bezwątpienia nie wymaga nic nad to, abyśmy znosili w cierpliwości i pokorze, cierpienia nieodłączne od naszéj ziemskiéj pielgrzymki; mimo to jednakże, jasne palmy tych dobrowolnych męczenników, których zimne samolubstwo nasze nigdy pojąć nie zdoła, świecą przed tronem Jego, jak drogocennych dyamentów niepokalane kryształy.

Takim miłośnikiem Krzyża był w ubiegłém stuleciu, młodzieniec, pochodzący z możnéj niegdyś na Litwie Korsaków rodziny.

Od najpierwszych lat dzieciństwa lubował się w samotnéj modlitwie i rozpamiętywaniu. Skoro wyrósł, nic go przynęcić nie mogło do świata, ani dostatki i znaczenie rodziców, ani żadne uciechy i zabawy, powtarzał często jako radby jak najrychléj uczynić rozbrat ze wszystkiém co go otaczało, i dla miłości Chrystusa, w pocie czoła za-

rabiać na chleb powszedni. Boleli srodze rodzice nad tą obojętnością syna, na wszystko co mienili być najwyższą pomyślnością, przyszło im tedy na myśl, ażali zmiana życia korzystnie na niego wpłynąćby nie mogła? Oddali go więc do wojskowéj służby. Wkrótce radowali się swym pomysłem, bo wybuchła wojna i młodzieniec potykał się w szeregach walczących z nieustraszoną odwagą. Właśnie wtedy, gdy pewni byli, że już zaniechał swych zamiarów porzucenia świata, zdarzyło się, że przy nocnym napadzie nieprzyjaciół we wsi gdzie obozowało wojsko, Kazimierz w pośpiechu zamiast swéj odzieży, przywdział prostą wieśniaczą siermięgę. Dopiéro nad ranem, gdy ukończyła się potyczka, dostrzegł swéj omyłki, i usunąwszy się w odludne miejsce, zadumał się nad nią głęboko.

Nagle wśród rozmyślania, zdało mu się, że słyszy w oddali głos jakiś przemawiający w te słowa: Sam Bóg cię przybrał w szaty, w któréj cię zbawić pragnie. Chęć pracowania wśród wieśniaków i zaparcia się samego siebie, która z dawna

gnieździła się w jego sercu silniéj niż kiedykolwiek, odezwała się wtedy. Postanowił nie sprzeciwiać się jéj dłużéj i niebawnie przywieść do skutku dawne zamiary. Skoro tylko ukończyła się wojna, rozporządził swym majątkiem na rzecz ubogich, i uszedł potajemnie na odludną pustynię. Żył tam czas jakiś w samotnéj bogomyślności, skoro zaś zmiarkował, że już przeminąć musiała pamięć o nim w świecie, wycieńczony postami na puszczy i spalony do niepoznania od słońca, udał się do wioski w pobliżu stron rodzinnych, i przyjął tamże służbę u gospodarza. Nie dziw, że nie zadługo stał się wzorem cnót wieśniaczemu stanowi potrzebnych. Pan jego przejęty do żywego tym zbiorem rzadkich przymiotów, córkę swą, wraz z bogatém wianem ofiarował mu w małżeństwo. Nie przyjął Kazimierz téj ofiary, mówiąc, że zamyśla pozostać w bezżennym stanie. Jednakże przyjaźń którą mu okazano, błogiém uczuciem napełniła jego serce, i szczęśliwém bardzo zdało mu się to życie, które sądził pełném nędzy i poniżenia. Zaczął się przeto dręczyć tém, że nic nie cierpi dla

miłości Bożéj, i umyślił przenieść się w inne miejsca, gdzieby znaleźć mógł Krzyż, którego pragnął gorąco. Stało się wreszcie zadość życzeniom jego. Przyjął służbę we wsi, któréj panią była jego siostra; niepodobna jednakże cnotliwemu bratu nie była matką powierzonego sobie od Boga ludu, i poddani jéj srogi ucisk cierpieli. Kazimierz wraz z drugiemi, udręczonym był od okrutnéj pani. Przetrwał tak lat siedm, chwaląc Pana i słodząc nędzę swych towarzyszy świątobliwą radą i pociechą. „Gdy w końcu stargał siły nadludzką pracą, i uczuł się bardzo chorym (opowiada pisarz jego żywota), prosił gospodarza, u którego służył, aby szedł na pobliski gościniec, i sprowadził mu księdza, którego tamże zastanie. Snać miał widzenie prorocze, bo w istocie ów gospodarz idąc wskazaną drogą, napotkał przejeżdżającego księdza Dominika Podolca, i zaprosił go do swéj chaty. Jakież było zadziwienie owego kapłana, gdy chory podniósłszy się na ubogiém wieśniaczém posłaniu, pozdrowił go po łacinie, wymieniając jego imie i nazwisko. Wtedy dopiéro nastąpiło

tłómaczenie wszystkiego, i Kazimierz dawszy się poznać, przypomniał jako był uczniem jego w szkołach, potém przy spowiedzi opowiedział mu cały swój żywot, oraz wszystkie duchowe pociechy, jakie w nim miewał. Prosił, aby go po chowano na miejscowym wieśniaczym cmentarzu, nie wymieniając dawnego stanu. Wzruszony kapłan przyrzekł czego żądał, i nie odstąpił go aż do chwili śmierci."

W kilka lat dopiéro po zgonie księdza Podolca, znaleziono w papierach jego opis życia i śmierci Kazimierza Korsaka, który snać skreślił, aby przekazać pamięci potomnych wizerunek bogobojnéj postaci ziomka.

TOMASZ OBORSKI.—FLORJAN CZARTORYSKI.—HENRYK FIRLÉJ.—KSIĄDZ STANISŁAW WARSZEWICKI.

TOMASZ OBORSKI.

Wielka żałość i tęschnota sciskała serce miesz kańców starego Krakowa, bo głód i mór srogi ucisnął ubogie królestwo nasze, nie napotkałeś prawie chaty któréj ściany nie rozlegałyby się jękiem i płaczem, żamożniéjsi tylko jako tako chronili się od zarazy, mając wszelkie środki ku temu. Wielu też znich okupywało nie jako swą pomyślność, przychodząc w pomoc nędzy i cierpieniu.

W jednéj z obszernych kamienic rynku, gdzie rozdawano codziennie pożywienie zgłodniałym, ukryty przed oczyma wszystkich, ten którego dłoń dobroczynna rozsypywała jałmużnę, sledził azali słudzy jego spełniają wiernie wydane sobie

polecenia. Był to mąż poważny, słusznego wzrostu i łagodnego oblicza biskupiem okryty odzieniem.

Raz na raz przystępował do okna, czyniąc półgłosem uwagi nad tém co dostrzegał: ot gdyby nie to, że nie radbym słuchał podzięki tych biedaków, zdaje mi się że lepiéj i prędzéj sam bym ich podzielił—ta młoda i blada niewiasta nic jeszcze nie dostała a zda się zemglona wycięczeniem—ten starzec dawno już czeka, a przecie polecałem aby najpierwéj opatrywali tych, którzy się sami nie cisną.—Piotr zwrócił wreście na nich uwagę—ale i mój synowiec posunął się już w tę stronę... Długo jeszcze pobożny biskup niby stróż anioł czuwał nad nieszczęśliwemi, aż w końcu tłum nasycony, powoli rozchodzić się zaczął, i spocząć dozwolił swemu dobroczyńcy.

Pusto zrobiło się już na rynku jak zazwyczaj w onych żałobnych i frasobliwych czasach a jeszcze przed drzwiami dobroczynnéj kamienicy, stary dworzanin wyglądał azali kto nie przybędzie zgłodniały.

— Powiedźcie mi panie Piotrze spytała go prze-

chodząc mimo podeszła niewiasta, w bogatym mieszczańskim stroju, co to za młodzieniaszki od niejakiego czasu u was przebywają? jeden z nich podobno synowiec biskupa, czyż i drudzy są mu pokrewni?

— Bynajmniéj odparł Piotr — są to tylko ubodzy synowie szlachty, którzy kosztem Pana mego wraz z jego synowcem pobierają wychowanie.

— Stara pokiwała głową: błogosławiony on już pono za życia ten pan wasz, i równego jemu niema pewno cała polska korona. — Miły Boże! nie dość że w tych ciężkich czasach wspomaga tyle ubóstwa, jeszcze i wdomu swojm choduje młode latorośle na pociechę i podporę ojczyźnie!

— Prawdę rzekliście pani Barbaro, mnie samemu nie raz na myśl przychodzi, azali święci mogli więcéj czynić dobrego? Dzięki Bogu przynajmniéj, że owi wychowańcy wdzięczne i poczciwe dzieciaki; a synowczyk to istny obraz stryja, takie to nabożne, miłosierne, potulne i ciche; ale ja zagaduję się z wami, i zapominam, że pan mój

dawno na mnie czeka. Bywajcie zdrowi pani Barbaro, do szczęśliwego zobaczenia.

— Pogawędzilibyście jeszcze trochę, toć zawsze wczas przybędziecie a ksiądz biskup pewno nie połaje.

Zaledwie słów tych domówiła Barbara, jeden z pachołków w barwie biskupiéj wybiegł zdomu wołając żałośnie że któryś z domowników dotknięty został nagle morową zarazą; niewiasta przeżegnała się znajwyższem przerażeniem i spiesznie uszła daléj, pan Piotr zaś nie mniéj żywo poruszony wbiegł do wnętrza kamienicy. Ilekroć krwawe widmo zarazy, mimo stawianej mu zapory przecisnąć się zdołało przez zamożne progi, sprawiało nadzwyczajny popłoch pomiędzy ich mieszkańcami. Ubodzy nawykli do wszelkich przykrości i udręczeń snadniéj zawsze przyjmować je umieją z ręki Boga;—śmierć zresztą nie jest dla nich straszną, skoro znajdują w niéj spoczynek po trudach pełnego nędzy i boleści żywota. Wszyscy domownicy biskupa znajdowali w nim ojcowską życzliwość i opiekę, dnie

ich upływały w pokoju i dostatku wszelkim, to też gdy ten któren zaniemógł umarł mimo spiesznego ratunku, przelęknieni towarzysze opuścili wszyscy martwe zwłoki, obawiając się oddać im ostatniej posługi.

Już od kilku godzin dębowa trumna mająca przyjąć zmarłego, stała w jego komnacie a jeszcze pan Piotr nie mógł namówić nikogo aby wraz z nim poszedł złożyć w niéj nieszczęśliwego brata, frasował się tedy nie pomału nie wiedząc co począć; aliści zjawił się przecież biedak jakiś proszący zarobku, i wyprowadził go, z kłopotu obietnicą że za sutem wynadgrodzeniem sam dopełni żądanéj posługi. Niebawnie wtedy wszyscy posunęli się za nim chcąc śledzić zdala, ażali wiernie spełni swe przyrzeczenie. Któż zdoła opowiedzieć podziw przestrach i wzruszenie trwożliwych skoro otworzywszy drzwi izby w któréj znajdował się umarły, spostrzegli łoże puste, trumnę już zabitą a przy niéj modlącego się biskupa.

— O Panie nasz zawołali ze łzami! jakże mo-

żecie narażać życie za które każden z nas chętnie by swoje poświęcił!

— Cicho dzieci moje odrzekł im powstając, nie troszczcie się o mnie, kto z Bogiem, Bóg z nim i nie dopuści mu szkody na ciele i na duszy; bez woli Jego nędzny robaczek nie opuszcza tego swiata; azaliż by człowiek miał ulegać zrządzeniom ślepego trafu? Pamiętajcie dodał poważnie że ten tylko umiera komu Bóg śmierć przeznaczy, i biada tym którzy przez samolubną obawę nie spełniają czynów miłości, nawet względem umarłych, bo sądzić ich będzie kiedyś, ten który jest miłością samą.

Jeszcze biskup mowić nie skończył a już rozrzewnieni czynem jego domownicy unosili trumnę na swych ramionach, nie dopuścili już do niéj obcego przybysza, chcąc się okazać godnemi swego pana.

Panem tym chrześcjańskim który zarówno czynem jak słowem bogobojnie przewodniczył swéj czeladce, był Tomasz Oborski Suffragan Krakowski i Biskup Laodyceński. Syn Toma-

sza z Obór Oborskiego podczaszego ziemi Czerskiéj, i Katarzyny Łosiownéj Kasztelanki Czerskiéj.— urodził się w KsięstwieMazowieckim w r. 1571. W domu zacnych rodziców, zaszczepiono w jego sercu wraz z początkiem nauk cnoty któremi późniéj jaśniał.— W ośmnastym roku życia ukończył chlubnie akademią Krakowską i pojechał do Włoch gdzie stopień obojga praw doktoraa uzyskał. Skoro go poświęcono na kapłana mimo młodego wieku, stał się w krótce wzorem cnót i pobożności. Nie przystępował nigdy do ofiary mszy świętéj, nie oczyściwszy wpierwéj sumienia spowiedzią. Sądził bowiem że same miemanie że jesteśmy bez grzechu, jest już grzechem pychy; tém bardziéj że słabość i ułomność natury ludzkiéj, może łacno zakryć niejedno przewinienie przed naszemi oczyma. Modlitwy kapłańskie odprawiał zawsze na osobności z wielkiem nabożeństwem; umartwiał ciało aby podnieść ducha, i łacniéj zwyciężać złe namiejętności; ujmował sobie wszystkiego, aby czynić hojne jałmużny. Niechciał przyjąć ofiarowanego sobie opac-

twa i biskupstwa Chełmskego, mówiąc że lubuje się najwięcéj w zwyczajnych obowiązkach kapłana i chce je spełniać bez przeszkody. W kilka lat potem rozkazem swego spowiednika i usilnemi prożby biskupa Piotra Tylickiego, zmuszony został do przyjęcia Suffraganij Krakowskiéj; trzeba było widzieć wtedy z jaką gorliwością poświęcał się dla dobra ogółu. Dwa razy do roku objeżdżał całą dyecezyą bawiąc zawsze po pare tygodni w każdéj znaczniejszéj parafii, i przestrzegając porządku w służbie Bożej.

Uwiadamiał zwykle naprzód o swym przybyciu proboszcza i okolicznych parafian, prosząc tych ostatnich aby przez czas jego pobytu uwalniali od robót swych poddanych, iżby się schodzić mogli codziennie do kościoła. — Nawet panowie protestancy czynili zadość temu żądaniu, lud zaś mnogi schodził się jakoby na odpust jaki, w miejsce w którem przebywał pobożny biskup. Wraz z kapłanami którzy mu towarzyszyli spowiadał wtedy i nauczał prostaczków, a wreście udzielał im sakramentu bierzmowania. Jeżeli zdarzyła się pod

ten czas potrzeba nawiedzenia chorego, sam zawsze pospieszał nieść w progi ubogich chatek słowa pociechy wraz z hojną jałmużną. Chcąc wynagrodzić wydatki jakie pleban ponosić musiał w czasie jego bytności, pozostawiał mu przy wyjeździe odpowiednią kwotę pieniędzy.

Żeby kiedyśSuffragani Krakowscy nie wyłamywali się z obowiązku objeżdżania dyecezyj pod pozorem czynienia krzywdy ubogim plebanom, znaczną summę na ten cel testamentem zapisał. Mnóstwo jest podań o jego cierpliwém i łagodnym obejściu z ludźmi;— powiadają że z natury będąc żywym bardzo, ilekroć czuł się bliskim gniewu padał na ziemię, mówiąc: Panie kocham cię nad wszystko, i nie powstawał dopóki po uczynionéj modlitwie nieczuł się spokojnym. Pomiędzy młodzieżą któréj dawał wychowanie swym kosztem, odznaczał się synowiec jego Tomasz Oborski. Był on po śmierci Stryja Suffraganem Krakowskim jego naśladując wiernie cnoty albowiem gdy mu ofiarowano arcybiskupstwo Lwowskie przyjąć go niechciał, widząc się użytecznym

w miejscu które zajmował. Ogrom pracy jaką podjął przez czas zywota swégo Tomasz Oborski jest tak wielki, że podołać mu tylko mogła dusza oderwana od wszelkich zabiegów ziemi. Wyliczają ilość świątyń które odbudował i sam poświęcił, liczbę obiazdów dyecezyj, oraz wszelkich spraw pobożnych dokonanych dla dobra Kościoła, jest ona niezmierną, a prócz tego dwa razy jeszcze odprawiał na piechotę pielgrzymkę do grobów Apostołów Piotra i Pawła w Rzymie. Smierć tego bogobojnego męża przypadła w roku 1674, po 74 latach pobożnego życia; w patrując się w wizerunek ukrzyżowanego Zbawiciela, i rozmawiają z nim w świętym zachwyceniu przeniosł się do wieczności. Tłumy ludu zaległy katedrę Krakowską w dzień pogrzebu, utrzymywano bowiem że Pan objawił łaskę jaką miał przed Jego oczyma, ten sługa mądry i wierny, uzdrawiając już to na ciele już na duszy tych wszystkich którzy się udawali do jego przyczny.

FLORYAN CZARTORYSKI.

Kościół w Lorecie napełniony był tłumem pobożnych, cisnęli się oni do wielkiego ołtarza, aby otrzymać błogosławieństwo młodego kapłana odprawującego po raz pierwszy służbę Pańską; był on synem rycerskiego narodu który Maryą obrał swą królową, aby zatem nie skłamać wierze przodków pierwszą Mszy Świętéj ofiarę składał na poświęconym jéj ołtarzu.

Kościół w Lorecie mieści w swem wnętrzu domek zamieszkiwany niegdyś przez matkę Zbawiciela, *la santissima casa di Nazaret* jak go zowią włochy. Domek ten mówi poetyczna legenda w czasie zburzenia Jerozolimy, aniołowie zachowali od zniszczenia przenosząc go cudownym

sposobem najpierw na brzegi Dalmacyi, późniéj zaś na miejsce które dziś zajmuje. Od owych czasów tysiące pobożnych pielgrzymow korzy się u stóp ołtarzy, opartych o okna tajemniczego schronienia, w którem jaśniała niegdyś *gwiazda zaranna*, a że nie jeden z nich odchodzi wysłuchany i pocieszony ztąd ciągle mnóstwo wiernego ludu napełnia jéj świątynią.

— Powiedzcie mi ojcze Janie, kto jest ten młodziuchny nowo wyświęcony kapłan mówiła poważna niewiasta, do braciszka który się uwijał w zakrystyi około przyborów kościelnych.

— To młody polak, który niedawno w obecności naszego ojca świętego miał uczoną rozprawę, i wyszedłszy z niéj zwycięzko laur doktorski otrzymał. Profesor mistrz Jan de Lugo nie może się odchwalić bystrości jego umysłu, towarzysze zaś nauki, mówią, że jest słodki pokorny i cichy, słowem że posiada wszystkie cnoty potrzebne kapłanom. Radujmy się pani Fiammo ztego nabytku dla kościoła, i módlmy się zarazem aby ta swięta matka nasza zyskała więcéj podobnych synów.

— Odgadłam od razu wdzięczność i zacność jego w obliczu nieba, mówiła pobożna niewiasta, uradowana tem co słyszała, powiedźcie mi jak się zowie abym go mogła polecić Panu w mych modlitwach niegodnych.

— Floryan książe Czartoryski, odparł zakrystyan, wychodząc pośpiesznie połączyć się z processyą która właśnie obchodziła kościół.

— Książe? zawołała z podziwem pani Fiamma książe, młody, piękny, uczony i bogaty nie wacha się złożyć w ofierze panu wszystkich tych ponęt ziemi? O dzięki ci Maryo że wzbudzasz podobne sługi synowi twemu, dodała jeszcze z cicha, a potem wyjąwszy różaniec, zatopiła się cała w modlitwie.

Floryan Czartoryski był najmłodszym synem Michała księcia na Klewaniu i Izabelli księżniczki Koreckiéj jego małżonki. Od lat najmłodszych okazywał chęć wielką do duchownego stanu, nie sprzeciwiali się jéj pobożni rodzice, i owszem radowali się że z czworga dziatek jedno choć, poświęcić mogą usłudze ołtarzy.

Skoro tylko Floryan ukończył szkoły w Łucku, dla dalszego kształcenia wysłano go do Rzymu. Pobożny młodzieniec cwicząc się ciągle w doskonałości, zyskał sobie miłość i poszanowanie wszystkich otaczających. Lubował się wielce w pamiątkach i świątyniach Rzymu, najchętniéj jednakże rad przebywał w kościołach poświęconych Maryi. Powracając do kraju, na wzór obrazu znajdującego się w *santa Maria maggiore* gdzie się modlił najczęściej, kazał sobie odmalować wizerunek Maryi, dla umieszczenia go w podróżnym ołtarzu, z którym się nigdy nie rozłączał. Na wyjezdnem, Kardynał Barberini wdowód wysokiego szacunku podarował mu jeszcze zwłoki świętego Bonifacyusza biskupa i męczennika, które Floryan z niewymowną uciechą sprowadził swoim kosztem do farnego kościoła dóbr ojcowskich w Klewaniu. Skoro powrocił z Rzymu życzliwi rodacy oceniając zasługę jego ofiarowali mu kanoniją katedralną w Krakowie, zamieszkał więc tamże, dzieląc czas swój

pomiędzy miłosierne uczynki, nabożeństwo i czytanie ksiąg świętych.

Genjusz Sgo Augustyna przejął go wielkiem uwielbieniem, zebrał i ułożył porządkiem wyjątki z dzieł jego, i wydał je pod tytułem: *Electa D. Augustini*, aby w skróceniu ogólnie czytane być mogły. Zdarzało się często że kazał przed ludem wykładając mu jasno prawdy Ewangelii. Mowa jego bywała wtedy tak pełną zapału i miłości Boga że wielu nawracała na dobrą drogę.

Poważnie i cicho płynęło życie cnotliwego młodzieńca, w pracy około pożytku bliźniego. Nie pragnął on zaszczytów których się wyrzekł, mogąc je posiadać z praw rodu, wzbraniał się przeto bardzo przyjąć katedrę biskupią, ofiarowaną mu jako hołd należny jego cnocie. Sam król Jan Kaźmierz zmusił go prawie po wielu daremnych trudach, aby został najpierw Kujawskim a potem Poznańskim pasterzem.

Łatwo odgadnąć jak gorliwie zajął się swą dyecezyą, i jaką wniéj miłość pozyskał. Księga w któréj zamieszczone szczegóły tego cnotli-

wego żywota tak wtedy wspomina o Floryanie. „Królowie polscy, Władysław IV, Jan Kaźmierz i Michał Korybut, poważali i kochali nad innych Floryana Czartoryskiego, dla zacnych przymiotów i dobroci wielkiéj, którą już wydawała sama postać jego, miał też przeto od Boga prawdziwy dar jednania zwaśnionych umysłów; znając swój obowiązek senatorski, odwracał od ojczyzny wszystko co jéj było szkodliwem. Gdy w r. 1661 wojsko wzburzone na Jana Kaźmierza, poszło do związku pod marszałkiem Swiderskim, i nie zostając już pod władzą i powagą hetmanów, pozwalało sobie wiele z krzywdą ludzi ubogich, pracowano usilnie około uspokojenia go, a jednakże nie było żadnego téj pracy skutku, użaliwszy się nad tem pobożny biskup Floryan, wziął wszystko na siebie, i najprzód w Olborzu a potem we Lwowie tyle dokazał wdzięczną wymową, że ów związek rozwiązał szczęśliwie, i synowskie serca powróciły do matki ojczyzny, on zaś zyskał nazwę *Biskupa jednoczącego*. Po śmierci Króla Michała starał się również po-

kój i jednomyślność pomiędzy zwołanemi stanami utwierdzić, nie żałując ku temu pracy usilnéj i stałéj"—Nie długo jednakże cieszył się kraj cały roztropnym i pobożnym prymasem. Floryan Czartoryski, niebezpieczną dotknięty chorobą zwolna wstępować począł do grobu. Czując się coraz gorzéj, udał się najpierw do Częstochowy, gdzie co rok odprawiał pielgrzymkę. Poleciwszy duszę swą opiece Maryi, na któréj osobliwszą służbę poświęcił się był przy pierwszéj mszy odprawionéj w Lorecie, rozporządził jedynemi skarby które posiadał w ten sposób, że piękny księgozbiór podarował ojcom Jezuitom w Rawie, obraz zaś matki Bożéj wywieziony z Rzymu kościołowi Śgo. Macieja w Krakowie. Wszystkie swe dochody i dobra, dawniéj jeszcze zamienił na skarb wieczno trwały, rozdając je ubogim. Umarł w r. 1675, pochowany według życzenia swego w Warszawskim kościele Jezuitów.

HENRYK FIRLÉJ.

Kiedy Władysław Łokietek przebywał w swém tułactwie krainę Frankonii, zatrzymał się w zamku szlachetnego hrabi, który go przyjął jak potomkowi rycerskiéj rodziny przystało podejmować nieszczęśliwego króla rycerskiego narodu. A było w onym zamku dwunastoletnie chłopie, syn gospodarza, który z dziwném zajęciem i współczuciem przyglądał się naszemu Łokietkowi, i nieodstępował go i chwili, widno było że młodzieniaszek rad był odgadnąć i zadowolnić wszystkie myśli królewskiego gości a. Ujęty tem Łokietek, na wyjezdnem prosił pana zamku, aby mu powierzył syna na co gdy tenże przystał, chłopie stało się ulubieńcem wygnańca. Mi ano jego przemilczały kroniki

wiadomo nam tylko, że gdy w pięć lat potem Łokietek powrócił do rządów kraju, ożenił go, wyposarzył i przywiązał do swego dworu.

Młody przyjaciel królewski miał syna Ostasyusza o którym w herbach rycerstwa Polskiego powiada Bartosz Paprocki, że będąc stolnikiem Krakowskim, od urzędu swego zwanego w Niemczech Firleger, przezwany został Firleyem. Od niego to pochodziła przeważna w Polsce rodzina Firleyów, w pośród któréj zasłynął rzadkiemi cnoty Henryk Firley, arcybiskup Gnieznieński. Ojcem jego był Jan kasztelan Krakowski, matką zaś, Mniszchówna podkomorzanka koronna. Na chrzcie Świętym dano mu imie Henryka, dla ojca chrzestnego Henryka Walezyusza. Wojewoda Krakowski wyznając naukę kalwina rad był w jéj zasadach wychować syna, lecz nie dopuściła tego pobożna matka, przywiązana całą duszą do wiary ojców, sama się zajęła kształceniem duszy i serca młodzieńca. Po śmierci męża gdy już działać mogła swobodnie, wysłała go do collegium w Gratz a następnie do Rzymu, gdzie, roz-

wmięło się w nim okazywane od dzieciństwa powołanie do kapłańskiego stanu. Papież Klemens VIII, który będąc legatem w polsce miał przyjazne stosunki z rodziną Firleyów, uradował się bardzo przybyciem Henryka, wspierał go najpierw i utwierdzał w pobożnych zamiarach, gdy zaś po kilku latach próby, udzielono mu święcenie kapłańskie, uczynił go swym domowym prałatem, szczególniejszą nad nim rozciągając opiekę. Niezadługo młodzieniec zwrócił na siebie uwagę otaczających, gruntowną nauką, głęboką pokorą, oraz innemi zacnemi przymioty; kłamstwo nie skalało nigdy ust jego, był zaś tak łagodnego serca, że nawet najbliżsi domownicy nie widzieli go gniewnym ani zniecierpliwionym. Duch jego czysty, spokojny i głęboki, podobny był do przejrzystego jeziora, po nad powierzchnią którego nigdy nie przelatują burze. Mimo doznawanyah względów na dworze papiezkim, nie mógł żyć długo w oddaleniu od ojczyzny, i po kilku latach pobytu w Rzymie, z radością powrócił do kraju zaraz potem otrzymał od króla probostwo Miecho-

wskie, którem czas jakiś zarządzał roztropnie i gorliwie; wkrótce jednakże oderwan znów został od prac kapłańskich poselstwem do papieża Klemensa. Gotów zawsze ponosić największe trudy, gdy chodziło o chwałę Bożą, lub dobro ojczyzny, pojechał do Rzymu i wywiązał się tamże szczęśliwie z danego sobie polecenia. Klemens VIII. darował mu wtedy ciało świętéj Wiktoryi. Firléj sprowadził je niezwłocznie dla Kolegjaty Łowickiéj, w któréj zwłoki Męczenniczki po dziś dzień złożone. Będąc najpierw biskupem Przemyślkim, późniéj zaś Łuckim i Płockim, pobożny pasterz znaczne dochody obracał jedynie na uczynki miłosierdzia. Wiele kościołów i klasztorów fundował i przyozdabiał, i wielu wspierał ubogich, rozdając hojne jałmużny nie skąpił zarazem serdecznego słowa pociechy, wszyscy ci przeto nad niedolą których się użalił, czcili go i miłowali jak dobrego ojca.

W trzydziesei lat po wyżéj opisanych wypadkach w pałacu arcybiskupów Gnieznieńskich, w odosobnionéj komnacie, kędy proste sprzęty zdradzały skromne i pobożne nawyknienia właściciela;

Henryk Firléj przyciśniony wiekiem i trudami żywota pełnego zasługi, rozmyślał jakoby sprawować godnie arcypasterski urząd, na który niedawno wyniesion został, gdy uchyliły się drzwi rzeźbione i wszedł młody ulubiony mu dworzanin.

— Wielebny panie, rzekł skłauiając się lekko, darujcie że przerywam samotność waszą, lecz zmusza mię ku temu koniecznie potrzeba.

— Mów Rościsławie, odparł z łagodnym uśmiechem biskup, pewno któren z naszych parafiian potrzebuje wsparcia lub pomocy?

— O nie! — idzie tu o rzecz daleko większej wagi, mówił Rościsław; biedny jakiś podróżny zaniemógł w miéjskiéj gospodzie, dano znać że potrzebuje niebawnie pomocy kapłana, a ksiądz kapelan wraz z drugiemi udał się na przechadzkę po za mury miejskie. . . . .

— Podaj mi zatem prędzej wszystko co potrzeba, rzekł arcy-pasterz porywając się z krzesła z żywością młodzieńczą, i nie czekając spełnienia swych poleceń, sam biegł zabierać nieodzowne przybory. -- Za chwilę gotów już był do drogi.

W podróżnéj izbie gospody, na skromnie usłanem łożu, spoczywał wędrowiec blady i omdlewający. Nie spójrzał na wchodzących ani też okazał poruszeniem żadnem, że odgaduje ich przybycie. Rościsław zatrzymał się w progu, biskup zaś zbliżył się do chorego i pozdrowił go słowami pokoju. Chory otworzył wtedy oczy i rozpatrywać się począł w odwiedzających, w miarę jak rozpoznawał kapłańską odzież biskupa, widać było wstręt i niechęć w jego obliczu, wymówił w końcu kilka słów przykrych dla uszu pobożnego pasterza, przymknął oczy i odwrócił się do ściany milcząc upornie. Firléj odgadł w tedy z kim ma doczynienia, i lubo zasmucony, nie odstręczył się odspełnienia swéj powinności. Wiedząc że wszelkie przedstawienia daremne tam gdzie łaska Boża nie przeniknęła jeszcze serca, wzniosł oczy do nieba i cichą wnętrzną modlitwą błagał ducha świętego, aby rozjaśniwszy umysł zbłąkany, uczynił potem słowa jego baczne, mądre i poradne, iżby niemi mógł wyzwolić tę duszę z sideł w które uwikłana.

Gdy się tak modlił mąż bogobojny, chory snać chcąc się przekonać azali go już odstąpił, zwrócił się znów do niego. Tą razą spójrzał na oblicze starca opromienione anielską słodyczą i wielkim zapałem ducha, wpatrywał się w nie długo aż w reszcie wyrzekł cichym głosem, niby rozmawiając sam z sobą.

— Byłożby tak w istocie — arcybiskup Gnieznieński — książe kościoła — tu w tém miejscu — u łoża ubogiego wędrowca . . .

— Uchowaj Boże, rzekł biskup odgadując myśl jego, uchowaj Boże, abym dla zaszczytów i dostojeńsw kościelnych, zapomnieć miał obowiązków kapłana,—o biada mi gdybym kiedy kolwiek mógł sądzić że one uwalniają od świętych powinności mego stanu, lecz wy miły bracie czemuż dziwujecie się temu?

Na te słowa chory uśmiechnął się gorzko i chciał coś odpowiedzieć, lecz widno było że mu sił niestarczy do rozmowy, zważywszy ten stan osłabienia, biskup nie badał więcéj nieszczęśliwego, lecz wraz z Rościsławem zajął się

natychmiast udzieleniem mu potrzebnéj pomocy.

W kilka godzin potem biedny wędrowiec przeniesion był do arcybiskupiego pałacu; tam sędziwy pasterz, lubo miał się już kim wyręczyć nie odstępował go i chwili, pragnąc zarówno wyleczyć duszę jego jak ciało, jakoż dokazał tego po wielu staraniach i trudach. Skoro chory uczuł się tylko lepiéj, ujęty słodyczą starca, otworzył przed nim wszystkie rany i tajemnice swego serca.

Był on synem zacnéj mieszczańskiéj rodziny z Krakowa. Wychowany przez matkę w katolickiéj wierze, czuł jednakże wielki pociąg do zasad reformatorów wyznawanych przez ojca którego wielce miłował,

To téż gdy zdarzyło się późniéj że nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności w bolesnych bardzo chwilach życia, miał do czynienia z ludźmi którzy nie odpowiadali swemu powołaniu, popadł w błąd bardzo powszechny, to jest że upatrywać zaczął zródło złego nie w ułomności tychże ludzi, lecz w zasadach nauki którą wyznawali, i powziął wstręt i niechęć do niéj..... Mimo to jednakże

serce młodego Jana było szlachetne i tkliwe, podrażnione tylko poszło ku złemu, i dobre uczucie zmroziły się w nim jak krople rosy w głębi niedostępnych promieniom słonecznym przepaści.

Słowa bogobojnego kapłana były niby blaskiem ożywczym dla zwątpiałego i upadającego wśród ciemności ducha. Wskazały mu one wyższe w życiu cele, i pogodziły go z ludźmi widokiem cnót stawionych naprzeciw ich błędom. Postępek biskupa przekonał go najwymowniéj jako nigdy nie należy duchem stronniczym potępiać ogółu, albowiem wszędzie znajdują się źli i dobrzy, i dla tego że kąkol rośnie niekiedy pomiędzy zbożem, nie możemy bezkarnie deptać dobroczynnych kłosów.

Powstawszy ze swéj choroby Jan zaniechał już dalszéj podróży, i przyjął miejsce pomiędzy dworskiemi arcybiskupa, nie zadługo jednakże chcąc się wyłącznie poświęcić służbie Pana, wstąpił do zakonu Sgo. Jana Bożego, który Firléj fundował w Łowiczu.

W kilka lat po tym wypadku cnotliwy arcy pasterz zasnął snem sprawiedliwych, pozostawiając rodakom w swych cnotach, zbawienny i chwalebny do naśladowania przykład.

KSIĄDZ STANISŁAW WARSZEWICKI.

Najjaśniejszy Zygmunt August wypoczywał w swych komnatach po trudach zarządu sprawami państwa, rozmawiając z ulubionym przyjacielem.

— Więc to prawda księże Stanisławie mówił z żywem zajęciem, że już na pewno zamyślacie nas osierocić wyjazdem do Rzymu?

— Tak jest w istocie miłościwy panie odrzekł kapłan, sądze jednakże że wyraz sieroctwo nie może być użytym dodał z uśmiechem, skoro macie przy sobie tylu swiatłych mężów godnych waszego zaufania. Co do mnie wyznaje że rad bym jak najrychléj wypocząć u owego bezpiecznego wybrzeża, do którego zdawna tęschni

me serce, załatwiłem już wszystkie domowe sprawy, i brak mi jedynie do wyjazdu zezwolenia waszéj królewskiéj mości.

Król zagadnięty w ten sposób nic nie odrzekł jeno jął się przechadzać w zamyśleniu, po chwili zbliżył do księdza, wsparł obie dłonie na jego ramionach, i rzekł badawczo poglądając mu w oczy:

— A gdybym też was wyniósł na stolicę biskupią? wszak prawda że wtedy musielibyście pozostać?

— Najjaśniejszy Panie odrzekł poważnie kapłan, nie szukam ja dostojeństw kościelnych w Rzymie, jeno tego co potrzebne ku duszy méj zbawieniu, nie przyjąłbym zatem łaski waszéj, wszak ci i tak mianowaliście mię już scholastykiem gnieźnieńskim i kanclerzem koronnym...

— Aleć synowi kasztelana Wyszogrodzkiego i wnukowi Mazowieckiego wojewody, lepiéj by przystała infuła biskupia przerwał król. Wierzajcie mi jednak, mówił daléj z żywem poruszeniem, że nad zasługi rodu przeważają u mnie osobiste

wasze przymioty, i dla tego rad bym was widział na świeczniku w ojczyźnie.

— Łaskawość wasza królu mój, rzekł łagodnie lecz z silnem postanowieniem kapłan, zbyt pochlebny sąd o mnie wydaje, nie mogę przyjąć dostojeństwa które mi ofiarujecie albowiem rozpoznałem że w zakonie najłacniéj mi przyjdzie doskonalić ducha. Nie wiem jeszcze gdzie mię postawi wola pańska, rad bym przeto przyjrzeć się zbliska kilku ustawom.... Jako o łaskę was błagam miłościwy panie, nie przyprawiajcie mię o frasunek sprzeciwiając się téj podróży.

Na te słowa które nie zostawiały już żadnéj wątpliwości co do postanowienia mówiącego, król zmarszczył brwi chmurnie i odparł z nietajoną niechęcią:

— Uchowaj Boże abyśmy się mieli sprzeciwiać waszym świętobliwym zamysłom, wolni jesteście spełnić je w każdym czasie, skoro niechcecie się przychylić do życzeń naszych.

Otrzymawszy niby w ten sposób upragnione przyzwolenie, uradowany kapłan skłonił się na

znak podzięki, zważywszy jednakże nieukontentowanie królewskie, osądził że przyszła pora opuszczenia zamku, zabierał się zatem do wyjścia gdy Zygmunt August zatrzymał go niespodziewanie. Zmienił pozornie przedmiot rozmowy lecz widno było że niechciał się rozstawać ze swym ulubieńcem, nie sprobowawszy azali jeszcze nie zdoła zachwiać jego postanowienia...

Ksiądz Stanisław Warszewicki uczoną swą rozmową równie jak rzadkiemi zalety serca, zjednał sobie przyjaźń i względy królewskie. Nie korzystał jednakże z tego szczęścia, którego mu nie jeden pozazdrościł. Albowiem jako kapłan pojmujący swe obowiązki w całéj rozciągłości ich znaczenia zajmował się on przedewszystkiem, rzeczami dotyczącemi przyszłego życia duszy. Odrzucił więc mężnem sercem wszelkie ofiary, które król czynił, aby go zatrzymać w kraju, i wyruszył niebawnie w zamierzoną podróż. Skoro tylko przybył do Rzymu, nie spoczął po trudach dalekiéj drogi, jeno począł się rozpatrywać w zakonach które miał przed oczyma. Ustawy świętego pu-

stelnika z Manrezu wydały mu się najsposobniéjsze dowysokiego wydoskonalenia duchu. A był w on czas jenerałem towarzystwa Jezusowego w Rzymie mąż Boży imieniem Franciszek Borgia, pociągał on ku sobie wszystkie wyższe umysły i szlachetne serca. Częstokroć aby okazać ludziom cuda swéj wszechmocy, Bóg dozwala wśród dzikich chwastów wonnéj zakwitnąć lilii. Wielkie zbrodnie równoważone bywają w świecie wielkiemi cnoty, aby się stało zadość odwiecznéj sprawiedliwości. Dawna Rzymska rodzina Borgia ohydą swych występków ściągnąć mogła karę na ziemię wśród któréj wzrosła, aliści niby błagalna ofiara za winy ojców, wyszedł z jéj łona mąż świętobliwy pełen nadziemskiéj doskonałości.

Franciszek Borgia, ulubieniec Karola V. przemożny wice-król Katalonii i książe Gandyi, porzucił królewskie prawie dostatki, aby żyć z jałmużny, i wykonywać najpodlejsze usługi w zakonie, azaliż dusza miłująca nadewszystko Boga mogła szukać godniéjszego mistrza?

Ksiądz Warszewicki nie rozmyślając dłużéj rozpoczął nowicyat pod jego przewodnictwem, a w rok potem uroczyście przyjętym został do zgromadzenia. Kilka lat jeszcze zamieszkał w Rzymie, aby się lepiéj przypatrzeć cnotom swego przełożonego. Powróciwszy do ojczyzny osiadł w Wilnie zdala od dworu króla, nie chcąc mieć przeszkody w swych pobożnych zatrudnieniach. Życie jego domowe było wtedy przykładem dla rodaków, wielu też zbłąkanych nawrócił na dobrą drogę tą najwymowniéjszą ze wszystkich nauką.

Legat papiezki Comendoni znając bystry umysł skromnego kapłana chciał go koniecznie sprowadzić do Warszawy po śmierci Zygmunta Augusta, aby dopomagał do przyśpieszenia wyboru nowego króla, lecz Warszewicki wymówił się od tego, postanowiwszy nie mięszać się nigdy w sprawy świeckie.

Przeciwnie ilekroć chodziło o dobro kościoła nie zmordowany bywał w trudach i poświęceniach. Pod ów czas właśnie papież Grzegorz XIII

zapragnął go wysłać do Szwecyi aby dopomagał tamże pobożnéj Katarzynie małżonce króla Jana do krzewienia wiary S. Ksiądz Warszewicki mimo słabego zdrowia nie zawachał się i chwili wspełnieniu tego polécenia.

Królowa Szwedzka, blada długiem cierpieniem nie dawno przybytéj niewoli, siedziała w komnatach swego Sztokholmskiego zamku, zajęta nauczaniem małego Zygmunta, skoro jéj znać dano że kapłan z narodu który był jéj narodem pragnie się przed nią stawić.

— Niech wnijdzie zawołała płonąć rumieńcem najżywszéj radości—albowiem w oddaleniu od ojczyzny miłéj, w kraju gdzie tak niegościnnego doznała przyjęcia, dziwne miało dla niéj powaby wszelkie stron rodzinnych wspomnienie. Witajcie mi ojcze rzekła powstając na przyjęcie przybysza,—Cóż za szczęśliwy wypadek sprowadza was do Szwecyi? powiedźcie mi co słychać

w Wilnie i w Krakowie? jak się miewa ukochana siostra nasza?

Miłościwa Królowo, odparł z niskim ukłonem ksiądz Warszewicki, pismo które wam przywiozłem opowie najlepiéj to co wiedzieć pragniecie o królewéj i ojczyznie naszéj. Co zaś do mnie przybyłem tu z rozkazu Ojca Ś^go^ który pragnie abym wam był pomocnym około krzewienia wiary naszéj w Szwecyi.

Dzięki niech będzie Ojcu S^mu^ że nie zapomina o nas odparła składając ręce Katarzyna; znajdziecie tu wszelką pomoc i opiekę u króla, dodała z lekkiem wzruszeniem, nie należy on do naszego kościoła, umie jednakże cenić co dobre i piękne i nie zabroni wam pewno nauczać publicznie. — Celem moim jest sprowadzić braci w zakonie którzy by nam dopomagali w pracy — Może też Pan pobłogosławi jéj, otwierając na głos prawdy uszy błądzących.

Widno było że te ostatnie słowa stosowały się do Króla — Katarzyna zamilkła pomięszana i po chwili dopiero rzekła spuszczając oczy ku

ziemi — Nie godzi nam się wątpić o miłosierdziu Bożem; zdaje mi się jednak, czasem że zabiegi nasze daremne będą.

— Nie traćmy nigdy nadziei miłościwa królowo, ufajmy, pracujmy i módlmy się, a praca nasza wyda owoce choć ich może dostrzedz nie zdołamy.

— Miałam ja nieraz w życiu dowody miłosierdzia pańskiego, alboż to nie łaska Boża że mogę obznajmić to dziecię z nauką prawdy, rzekła wskazując na Zygmunta, Ojcze wielebny dodała w patrując się w twarz zakonnika, wszak prawda że nie odmówicie mi pomocy w kierowaniu jego wychowaniem? Słaba i nieudolna nie czuję się na siłach podołać sama téj wielkiéj pracy.

— Radbym całą duszą uczynić zadość waszemu żądaniu odparł Warszewicki, dziś jednakże nie mogę się zobowiązywać słowem, albowiem pragnę nie zadługo powrócić do kraju gdzie zostawiłem rozpoczętą pracę około zbawienia bliźnich.

— Nie żądam też dziś od was stanowczego przyrzeczenia, dość mi na tém jeżeli radować się będę mogła nadzieją że kiedyś przychylicie się do méj prożby.

Ksiądz Warszewicki skłonił się w milczeniu na znak podzięki za położone w sobie zaufanie, chwilkę jeszcze rozmawiał z królową o stanowisku katolicyzmu w Szwecyi, poczem oddał jéj listy przywiezione z Polski i odszedł do komnat które mu wyznaczono w zamku. Pozostawszy w samotności modlił się długo o pomoc znieba w sprawie za którą przybył do obcéj ziemi.

Skutkiem zapewne téj modlitwy żarliwéj i gorącéj, po krótkim czasie pobytu na dworze króla Jana, spełnił szczęśliwie powzięte przdtem zamysły. Otworzywszy swym braciom drogę do missyi w Szwecyi, mógł był powrócić do ojczyzny i ulubionych sobie zatrudnień, gdyby nie prożby Katarzyny, która ze łzami błagała aby pozostał przy jéj synu.

Zatrzymał się przeto w Sztokholmie i przez cztery lata pełnił tam obowiązki nauczyciela przy-

szłego króla polskiego. Po upływie tego czasu wrócił dopiero do Polski aby się już na zawsze poświęcić rodakom.

Objąwszy zarząd Collegium w Lublinie zachęcał młodzież do nauki i cnoty wymową i przykładem, to też każden z jego uczniów w dalszem życiu zasługiwał się dobrze Bogu i ojczyźnie. Papież Syxtus piąty, oderwał go raz jeszcze od pobożnych zatrudnień, dla ważnéj missyi na Wołoszczyźnie, któréj nie można było lada komu poruczać.

Odbywszy ją chwalebnie i szczęśliwie, ksiądz Stanisław zapragnął raz jeszcze w przejeździe Rzym odwiedzić, jak gdyby tknięty przeczuciem że już więcéj oglądać nie będzie odwiecznego grodu, w którym rad przebywał ilekroć ku temu nadarzyła się sposobność.

Powracając do kraju trafił na morową zarazę w Krakowie. Pełen gorliwości w wypełnianiu obowiązków swego stanu, poświęcił się natychmiast na usługi zapowietrzonych, widywano go wtedy bezustannie przy łożu umierających, lub

tam gdzie całun żałobny pokrywał pozostałych, pocieszał jednych i drugich słowami pełnemi miłości i namaszczenia, aż wreście jako żołnierz upadający na polu bitwy, legł snem sprawiedliwych dotknięty, morderczym pociskiem zarazy śmierć ta która zasmuciła kraj cały przypadła w 1591. Do cnót swych ksiądz Warszewicki łączył obszerną naukę, posiadał kilka języków starożytnych, w greckim zaś szczególnie był biegłym, wydał kilka szacownych duchownych kiążek które mają na celu wzniesienie myśli do Boga.

STAROŚCINA DOBCZAŃSKA.

Słońce chowało się poza niewielkie pasmo gór Świętokrzyzkich, gdy na przyległym gościńcu, ciągnącym się opodal wśród pustéj i posępnéj okolicy, ukazało się nagle kilku jedźców w barwie pana Myszkowskiego starosty Zatorskiego; przedarłszy się przez małą gęstwinę wyszli na otwarte pole i zwolnili kroku.

— Dalibyście pokój téj pogoni, panie Piotrze, ozwał się jeden z nich, słońce na schyłku i nie mało już nałykaliśmy się kurzu: czas by odwilżyć gardło.

— Poczekajcie jeno jeszcze trochę,—odparł zagadniony,—niedaleko ztąd gospoda, ot tam za

drzewami, widno bieleją już kominy, spoczniemy trochę i przepytamy ludzi.

— Kiedy już mamy spoczywać to i przepytywanie nie zawadzi, inaczéj nie wartoby się zatrzymywać; bo skoro dotąd próżne były nasze poszukiwania, to im daléj, tém trudniéj będzie, prawdę mówiąc, to i nie ma o co łamać karku bo przecie pan możny jak starosta, zawsze kiedyś i bez naszéj pomocy musi odszukać swéj zguby.

— Toż jejmość, pannie Konstancyi, żadna krzywda nie stanie się, skoro brat z nią w téj wędrówce; może nawet i nie złą jéj będzie świadomość, jakto nie tak łatwo począć sobie między obcemi — kto wie czy nie zatęskni jeszcze za opieką, chociażby nawet takiéj ochmistrzyni jak pani Zawilska.

— O co to, to nie łacno jéj przyjdzie —ozwał się drugi towarzysz — pani Zawilska to szatan wcielony, i nie wiem ktoby jéj mógł pożałować. Jejmość pani starościna, gdy ma około siebie swych predykantów, w rozhoworach z niemi nic

nie wie o córce, a i pan starosta téż zajęty ważnemi sprawy, rzadko kiedy widuje dzieci. Biedne paniątka, musiała im bieda dokuczyć, skoro nie wachały się porzucić domu i drobnego rodzeństwa.

— Cichobyś siedział, wasze, i trzymał język za zębami,—ozwał się dworzanin którego zwano Piotrem.—Co nam chudym pachołkom wtrącać się do spraw naszych panów, powinniśmy tylko starać się o ich względy, nie zaś przyganiać postępkom. Ot, i gospoda już przed nami, zsiadajcież prędzéj z koni bo nieradbym żeby nas tu noc zaskoczyła.

Gospoda, przed którą zatrzymali się nasi podróżni, nie obiecywała im wielkiéj wygody, jednak z radością przestąpili jéj progi, bo w owych czasach nie łatwo było znaleźć jakiekolwiek schronienie na ubocznym gościńcu. Skoro tylko zasiedli około dębowego stołu, gospodarz postawił przed niemi dzban miodu, i wnet pełne szklanice z rąk do rąk krążyć poczęły; gdy już cokolwiek ugasili pragnienie pan Piotr zaczął rozmowę z gospodarzem, który wraz z żoną krzątał sie pilnie

około usługi gości, dowiedział się, że oboje służyli dawniéj na dworze pana Myszkowskiego i bardzo mu byli przychylni, zaraz tedy jął im rozpowiadać, jako wysłany został dla odszukania starszéj córki starosty, która wraz z bratem opuściła dom rodzicielski i nie wiadomo dokąd się udała. Drudzy dworzanie dodali jeszcze coś o hojnéj nagrodzie, przyobiecanéj tem, którzyby odkryli schronienie dzieweczki, i o straszliwéj zemście starosty, nad temi, którzyby dopomagali do jéj ucieczki lub ukrycia. Na te ostatnie słowa, w których grzmiała groźba możnego pana, młoda żona gospodarza zbladła i zmięszała się widocznie, tak że to wzruszenie nie uszło nawet uwagi pana Piotra, rozpoczął niebawnie rozpytywać, azali nie widzieli poszukiwanych przez niego? Gospodarz zapewnił że zna ich oboje, lecz nie widział nikogo w tych stronach, coby im był podobny, ani téż zasłyszał niczego, coby naprowadzić mogło na jakie ślady.

Mimo to, pan Piotr nie mógł się pozbyć raz powziętego podejrzenia.

— Kto wie, czy nasze ptaszki nie znajdują się gdzie blizko nas,—szepnął do ucha jednego z towarzyszy;— zdaję mi się, że ci ludzie więcéj o nich wiedzą, aniżeli chcą powiedzieć.

— A gdyby téż przetrząsnąć gospodę,—dorzucił zagadniony.

— Poczekajcie jeno troche, mam ja coś innego na myśli, a teraz dość już o tém bo nas uważają.

W istocie młoda gospodyni dosztrzegłszy szepty pana Piotra, rumieniła się i bladła naprzemiany, mąż jéj zaś znacząco i niespokojnie na nią spoglądał.

Gdy znikła ogromna misa podróznego bigosu i wypróżnił się nie jeden dzban miodu, a słońce już całkiem schowało się za góry, pan Piotr dał znak do odjazdu. Za chwilę zamilkł w dali tentent końskich kopyt i cisza zaległa gościniec.

— Podziękujmy Bogu, mój Janie, że już wszystko złe minęło,— ozwała się wtedy gospodni, która wraz z mężem śledziła odjeżdzających. —Najświętsza Panna nas uratowała, ale

we mnie już dusza zamierała, jak opowiadać zaczęli o gniewie starosty.

— I ze mną nie lepiéj było,—odrzekł Jan,—alem ja przecież mąż, toć mi łacniéj powstrzymać się. Idźmyż teraz do tych biednych paniątek, które jak duszyczki w czyszcu oczekują nas zagrzebane w sianie; ja przystawię drabinę a ty ich sprowadź Regino.

— Drabiny nie było nawet czasu odstawić i jest dotąd na miejscu, zapal lepiéj ogień na wieczerzę a ja sama zaradzę wszystkiemu.—Jakoż wyszła spiesznie i niezadługo powróciła, prowadząc za sobą wyrostka około lat siedemnastu i śliczną piętnastoletnią dziewczynkę.

— Niech wam Bóg nagrodzi życzliwość waszą,—mówili oboje,—cóż poczęlibyśmy, gdyby nas schwytano?

— Drzę cała,—ciągnęła daléj dzieweczka,—z obawy wstydu, jaki mógł nas spotkać; oj, ja niebaczna, zgotowałam tyle biedy sobie i miłemu bratu, gdyby nie moja namowa, siedziałby spokojnie w domu, nie ściągając na swą głowę gnie-

wu rodziców. Co tu począć teraz?—dodała płacząc gorzko.

— Moja miła panienko,—zagadł wtedy Jan,—wiecie, że dobrze, wam życzę, nie darmo lat tyle strawiłem w usługach waszego rodzica i widziałem was igrających pacholętami; owóż tedy posłuchajcie mojéj rady. Dobrze się stało że uszliście dworzanom starosty, boć wielki byłby gniew jego i wstyd dla was, gdyby was przyprowadzono jako zbiegów; inaczéj zaś rzecz się miéć będzie, skoro sami dobrowolnie upadniecie mu do nóg i wyznacie waszą winę.

— Oj to pewno,—mówił młodzieniaszek,—lecz trudno nam będzie w powrocie nie wpaść w ręce pogoni wysłanéj za nami.

— Zresztą,— przerwała mu siostra,—jakże stanąć przed obliczem zagniewanego ojca, nie mając przy sobie nikogo, coby się za nami wstawił?

— Pomyślałem ja już o tém, — rzekł znów Jan, —wszak pani starościna Olkuska, blizka i ukochana wam krewna, nie daléj jak o milkę

ztąd mieszka, jutro rano mógłbym was do niéj zaprowadzić.

— O co nad to, to już nie mogliście nam lepiéj poradzić, wszak prawda Zygmuncie,— zawołała uradowana dzieweczka, — i ty nie sprzeciwiasz się temu?

— Azaliż nie wiesz, miła Konstancyo, że nie pochwalałem nigdy twych zamiarów ucieczki, i towaryszyłem ci jedynie dla tego, abyś miała opiekę w téj wędrówce; czyż więc możesz wątpić, że myśl zakończenia jéj w ten sposób napełnia mnie najżywszą uciechą?

— Ah! prawda,—mówiła znów Konstancya,— ty zawsze starałeś się zwrócić mnie na dobrą drogę; oj, gdyby nie złośliwość pani Zawilskiéj... ale stało się już, teraz powinnam pokutować za błąd mój, znosząc mężnie przykrości jakie mnie spotykać będą. Na widok ludzi wysłanych w pogoń za nami, pierwszy raz uczułam zgryzotę w sercu, przestrach i żal na przemiany napełniał mą duszę, gdy ukryci przez was w onem sianie słyszeliśmy co mówiono w izbie.... po-

znałam całą wielkość méj winy i postanowiłam odtąd znosić odważnie wszelkie przeciwności życia. Wam zaś, którzy narażając się na gniew naszych rodziców, ochroniliście nam wstydu pojmania, nie zapomnę nigdy téj przysługi.

— Nie wielkać ona, miła panienko, i nie warto o niéj wspominać skoro złe minęło ,—ozwała się Regina, zasiądzcie ot lepiéj do wieczerzy, którą przygotowałam; głód i pragnienie pewno wam dokucza po całodziennéj pieszéj wędrówce.

Młodość nieopatrzna na jutro, nie karmi długo w sercu frasunku; to też Zygmunt i Konstancya przyjęli ochotnie wezwanie Reginy, i wkrótce znikło przed niemi zastawione pożywienie. Radzili jeszcze chwilę o jutrzejszéj podróży do pani Olkulskiéj, swej ciotki, i już zabierali się do spoczynku, gdy nagle rozwarto drzwi izby i pan Piotr ukazał się w progu. Jan i Regina wydali okrzyk trwogi. Zygmunt zaś zerwał się zasłaniając siostrę, która zakryła twarz rękoma.

— A, znajdujemy was przecież po tylu zachodach i kłopotach,— ozwał się Piotr, wyciągając ręce niby dla pojmania winnych.

— Nie dotykaj nas! — zawołał gniewnie młodzieniec, grożąc mu z daleka.

— Mam polecenie starosty odprowadzić was do domu, musicie więc pójść za mną miły paniczu. Gniew wasz mnie nie ustraszy, oj nie trzeba wam było dawać powolnego ucha radom jejmość panny Konstancyi; teraz już nic nie pomoże, musicie wytrzymać oboje surową karę....

Tu Konstancya zerwała się oburzona, zawrzała w niéj dumna krew szlachecka na szyderstwo sługi.

— Dość tego, pełni twą powinność, i nie waż się mówić ani słowa więcéj; nie zapominaj kto jesteśmy, i wiedz, że pan starosta potrafi także ukarać zuchwalca, co śmie znieważać ród jego.

Zmięszał się pan Piotr na tę śmiałą odezwę, i wyszeptał coś nakształt przeprosin; po czem zaraz jął zwoływać towarzyszów i wydawać im rozkazy aby co prędzéj do dalszéj zabierali się podróży.

Zmiarkowawszy że Jan i Regina wiedzą o ukryciu dzieci starosty, postanowił z nienacka powrócić do gospody, i dla tego oddaliwszy się trochę, kazał ludziom swoim pilnować koni, a sam z dwoma tylko towarzyszami poszedł śledzić, azali czego nie dopatrzy. Nie chciał pierwéj przetrząsać domostwa, z obawy że nie wynajdzie poszukiwanych i uczyni ich jeszcze przezorniéjszemi na przyszłość. Uradowany powodzeniem swego zamysłu, chciał natychmiast powrócić do domu; ale Konstancya oparła się temu, i wymogła obietnicę, że pierwéj jeszcze zboczą do pani Olkuskiéj i dopiero razem z nią pojadą. Nie dozwoliła również czynić żadnéj krzywdy gospodarstwu, i darem bogatéj spinki okupiła milczenie pana Piotra, co do pomocy, jakiéj od nich doznała; opuszczając zaś gospodę, zmusiła Reginę do przyjęcia brylantowych kolczyków które nosiła w uszach, mówiąc: że może rozporządzać niemi jako darem swéj chrzestnéj matki.

Tą dzieweczką, któréj wady okupione były szlachetnemi przymiotami serca, była córka pana

Myszkowskiego, możnego Oświecimskiego i Zatorskiego starosty, oraz żony jego Anny z Przerębskich, Konstancya Beata, zaślubiona później panu Badzyńskiemu staroście Dobczańskiemu. Brat który jéj towarzyszył, był Zygmunt Myszkowski, późniéj kasztelan Wojnicki, Starosta Grodecki, Solecki i Nowomiejski, Marszałek W. koronny, i poseł do Włoch, przyjęty od księcia Mantui do herbu i rodziny Gonzagów, a od Klemensa papieża Margrabią mianowany.

Dziwna zmiana zaszła w całej osobie Konstancyi za powrotem do rodzicielskiego domu: cierpienie zamiast ją rozdrażniać jak przedtém, wpływało na udoskonalenie jéj ducha, zrozumiała bowiem, że najmilszą niesiemy Bogu ofiarę, znosąc cierpliwie przykrości przywiązane domiejsca, w którem nas postawiła święta jego wola. Żałując gorzko niebacznego kroku młodości, łagodnością i słodyczą starała się przejednać wszyst-

kich otaczających; w krótce też zrobiła tyle postępu w dobrém, że nawet owa złośliwa ochmistrzyni lepiéj się z nią obchodzić zaczęła. Bystrego i chciwego wiedzy umysłu, ćwiczyła się pilnie w naukach, przy pomocy światłych mężów przebywających na dworze ojca; nie odstręczała się nigdy oschłością przedmiotu, i łaciéj ją można było napotkać rozmyślającą nad rozwartą książką, a niżeli w śród igraszek wesołych rówiennic grona.

Starosta Zatorski wraz z małżonką liczył się do wyznawców Kalwina, i rad zaszczepiał w serca dziatek jego naukę; Konstancya tylko pozornie do niéj przylgnęła: wiara była wrodzoną potrzebą jéj duszy, święte tajemnice tłómaczone według błędnych mniemań rozumu ludzkiego, były w jéj przekonaniu niby owe bożyszcza własnemi wykute rękami, ktorym niepodobna jéj było oddać pokłonu. Przysłuchując się subtelnym rozumowaniom swych predykantów, o rzeczach wiecźnie zakrytych przed nami; sądziła ich sposobniejszemi do obłąkania umysłów na dro-

dze próżnych badań, a niżeli do wskazywania duszom drogi do nieba. Zdarzyło się, że poszedłszy za mąż, uczęszczała mimowolnie do katolickiego kościoła, bo lubo starosta Dobczański był także kalwinem, nie miał zboru w swych dobrach ani téż w pobliżu; rozważając święte nasze obrzędy i pojmując ich znaczenie, dziwnie się czuła wzruszoną. Mimo wstrętu jaki w nią wpojono z dzieciństwa do tak nazwanych papistów, powzięła chęć niezmierną zbadania zasad nieznanéj sobie nauki; zaczęła tedy czytywać księgi święte, razu jednego zeszedł ją przy tém czytaniu domowy predykant jéj rodziców i strofował surowo, że zabałamuca sobie głowę niepotrzebnemi rzeczami. Konstancya pobiła go w tedy jego własną bronią, odpowiadając jako sam uczył ją niegdyś, że w badaniu rzeczy wiary niema zapory dla chciwego światła umysłu. Cztery lata zeszło na podobnych rozprawach i dociekaniach, a młoda niewiasta nie śmiała jeszcze wyrzec jawnie swego przekonania, snać, że chwila łaski nie była nadeszła dla

niéj i nie mogła pojąć rozumem tego, co tylko sercem zrozumiéć można.

Bóg za zwyczaj cudownemi środkami oświeca umysły wyższe, wahhające się w uznaniu prawdy; inaczéj bowiem ci bogacze ducha, nigdyby nie zostali wyrwani swemu saślepieniu: jednym z nich daje ku temu matkę, jak Św. Monikę, obdarzoną nadzwyczajną siłą nadziei, miłości i wiary; drugim wzbudza przyjaciół, nauczycieli, mistrzów, którzy działają na nich przykładem, radami, modlitwą i poświęceniem; innych wreszcie pociąga ku sobie siłą nieszczęścia, w którém szukają pomocy i pociechy z nieba.

Zygmunt Myszkowski pojmował za żonę Elżbietę z Ziembic Boguszuwnę, piękną i cnotliwą dziewicę, o któréj wspominają kroniki, że wynikła na świat jak róża z ostrego ciernia: ojciec jéj bowiem żył w błędach aryańskich i srogie cierpiała od niego prześladowania za swą wiarę.

Konstancya przybywszy na gody wraz z mężem do ulubionego brata, radowała się jego szczęściem. Od pierwszego widzenia, nadobna Elż-

bieta pozyskała jéj serce; mając mieszkać w pobliżu siebie, tysiączne tworzyły zamiary na przyszłość a tymczasem tańce i biesiady uroczystości weselnéj szły zwykłą koleją. Wszyscy goście połączeni z sobą uczuciem przyjaźni lub rodzinnym węzłem, nie prędko pragnęli się rozdzielić; skoro minął dzień jeden i drugi, radzili, aby do końca tygodnia przedłużyć ochotę, gdy nagle piorun nieszczęścia uderzył w ich serca i pomięszał zamysły: starosta Dobczański przeziębił się, zaniemógł ciężko, a w kilka dni potem młoda jego wdowa łzami oblewała martwe zwłoki.

Dwa lata minęły od śmierci starosty, a Konstancya równie poważną smutną była, jak w pierwszych dniach żałoby. Strofowała ją za to matka, mówiąc: że powinna żyć w świecie, anawet myśleć już o innych związkach.

— Gdyby mię Bóg chciał mieć w stanie małżeńskim; nie dopuściłby śmierci męża mego, — odpowiadała zawsze na podobne uwagi, i nie zmieniała sposobu życia, a listy Św. Pawła któ-

re czytywała chciwie, utwierdzały ją jeszcze w przekonaniu nie sprzeciwiania się wyrokom Bożym, Zdarzyło się wtedy, że kilka z jéj sąsiadek zamierzyło odprawić pielgrzymkę do Częstochowy, Konstancya uczuła nagle chęć towarzyszenia im; od dzieciństwa żywiła w głębi duszy wielką część dla Matki Chrystusa: wierzyć w świętość Maryi, było niejaką potrzebą jéj serca. Skoro tylko przybyła na miejsce uświęcone widomą opieką nad polskim narodem jego Królowéj, wszystkie wątpliwości jéj ducha rozpłynęły się jak mgła poranna.

— Nie!— zawołała, wychodząc z Jasnogórskiéj świątyni, — Nie będę się dłużéj opierać natchnieniu prawdy, któréj promień zaświecił mi z nieba!

W Żabnie, dziedzicznem mieście starościny Dobczańskiéj, w wielki czwartek tłum ludu cisnął się do kościoła, w zakrystyi sędziwy proboszcz drżący od wzruszenia oczekiwał w pontyfikalnéj szacie. Otwarły się drzwi wreście

i wszedł strojny i świetny orszak, w pośrodku którego odznaczała się młoda niewiasta, piękna i blada, jak okrywająca ją śnieżnéj bieli szata: była to Konstancya, która na uroczystość dnia tego zdjęła czarny ubior, noszony od śmierci męża obyczajem dawnych niewiast polskich, uklękła na stopniach ołtarza, a przyjąwszy błogosławieństwo kapłana, dzwięcznym i pewnym głosem odmówiła skład Apostolski, potém otrzymawszy odpuszczenie wszystkich win żywota, przyjęła ciało i krew Zbawiciela.

Radowali się nie pomału tym widokiem wierni, ci zaś, którzy odstąpili od nauki kościoła, zachwieli się w swych błędach na widok czynu cnotliwéj niewiasty, któréj życie całe bez skazy stanowiło rękojmię prawdziwego przekonania; niektórzy z nich powrócili na łono dawnego wyznania, „a byli oni w tak wielkiéj „liczbie (mówi naiwny pisarz żywota Konstan„cyi), że w krótce w onem mieście Żabnie, „jak potém dziewięciu tylko było katolików, tak po tem dziewięciu tylko innowierców po-

„zostało, z czego mogła sobie przypisywać zwy-
„cięztwo, jakie niegdyś Św. Grzegórz cudotwor-
„ca otrzymał.

„Wkrótce potém, mówi tenże pisarz, wszelkiemi sposobami i żarliwością prawie apostolską, nawróciła dwie swoje siostry: Annę Branicką kasztelanową Żarnowiecką i drugą nie zamężną Zofię, nakoniec matkę swą łagodnemi środkami przyprowadziła do tego, że gdy w domu jéj kapłan katolicki wyzwał na dysputę jéj predykanta Bartłomieja Rybersa, sama uznała błędy kalwińskie, i wyrzekła się ich osiadając na dewocyi w klasztorze, gdzie jéj córka Zofia została zakonnicą." Dalsze życie Konstancyi tak opisuje jeszcze: „Ustawnie była w modlitwie i dobrych uczynkach, rada rozmawiała zawsze z ludźmi uczonemi i apostolskiego ducha, wielu nauki pobierającym swoim kosztem dopomagała, ubogim i chorym chętnie usługiwała, wyszukiwać ich i przyprowadzać do siebie kazała, złośliwą ową ochmistrzynię, która popadła w nędzę i chorobę, w dom swój przyjęła i do

Na starym zamku kniaziów z Ostroga nie zwykły ruch panował, krzątała się liczna służba dworska około przygotowań do wspaniałéj uczty, którą obchodzić miano dzień zaślubin młodziuchnéj córki książęcéj. Każdy ochotnie dokładał starań aby dzień ten uświetnić, bo wszyscy radzi byli okazać swą miłość Annie Alo-izie, i wywdzięczyć się za jéj pełne słodyczy i chrześciańskiego miłosierdzia obejście.

Książe Aleksander Ostrogski, wojewoda Wołyński, i żona jego wojewodzianka Sandomierska, z domu Kostków ze Sztemberga z żałością rozstawali się z ulubionem dziecięciem, mimo że radowali się dolą jaką mu Bóg nadarzył.

Hetman W. Litewski, Jan Karól Chodkiewicz, wojewoda Wileński, wojownik wielki i mąż zasłużony w narodzie, zaślubiał miłą ich Annę. Byli tacy, którzy dziwili się temu związkowi, z powodu że hetman znacznie będąc starszy od pięknéj swéj oblubienicy raczéj na ojca a niżeli na męża jéj wyglądał. Rodzice jednakże widząc że Anna szczerą wzajemnością odpłacając miłość wielkiego i szlachetnego serca Chodkiewicza, przenosi go nad grono młodych i płochych zalotników, dumni i szczęśliwi byli jéj wyborem. Ale bo też Anna od lat dziecinnych żyła więcéj duchem bożym a niżeli myślą o ziemi, i z tąd wypływało, że sąd jéj o rzeczach tego świata bywał dziwnie rozumny i poważny;—hetman odgadł od razu rzadkie zalety narzeczonéj, i umiłował je więcéj jeszcze a niżeli jaśniejącą jéj urodę. I cóż dziwnego, że związek w którym rękojmią szczęścia było głębokie przeświadczenie o zobopólnem bogactwie ducha, stał się obrazem doskonałéj ziemskiéj pomyślności? Ale niestety pomyślność w tém życiu zawsze musi być tylko chwilową!

W dziesięć miesięcy po wspaniałych weselnych godach odbytych na zamku Ostrogskim, Jan Karol Chodkiewicz walcząc za ojczyznę miłą, zwyciężał i umierał na Chocimskiem polu, a Anna wdowią zasłoną pokrywała urodziwą postać i rozdarte srogim żalem serce.

Nie zadługo po zgonie hetmana którego śmierć kraj cały okryła żałobą, młoda jego wdowa utraciła rodziców. W ciężkiem swem sieroctwie zamieszkała zamek Ostrogski, pełen drogich dla niéj wspomień. Otoczyła się wiernymi domownikami i nieszczęśliwemi, którzy potrzebowali j éj pomocy, i tak choć pogrążonéj we łzach i tęsknocie, szybko jéj mijał czas naznaczony użyteczną pracą około chwały Boga i dobra bliźnych. W mieście Ostrogu i jego okolicach pełno było Tatarów i Żydów, do których nieduszły jeszcze słowa Boże:—sprowadziła tedy Anna OO. Jezuitów, a obdarzywszy ich hojnie poleciła im nauczanie niewiernych, założyła także pod ich nadzorem kollegium dla ubogiéj młodzi wszelkiego

stanu, sama zaś karmiła zgłodniałych, pielęgnowała i nawiedzała chorych, opatrywała biednych; słowem, dopełniała wszystkich czynów chrześcijańskiego miłosierdzia. Pędząc taki żywot nie czuła się samotną, bo duchy ukochanych, z któremi wola Boża rozdzieliła ją na ziemi, uśmiechały się do niéj błogo z po za krańców widomego świata zachęcając do pielgrzymki, którą jeszcze odbyć miała za nim się z niemi połączy.

Mówiliśmy już że Anna zawsze żyła najwięcéj życiem ducha, nieszczęścia które poniosła jeszcze więcéj zbliżyły ją do Nieba; niedziw więc że nie marzyła o powtórnych związkach, i nierada słuchała przedstawień niektórych przyjaciół i krewnych, którzy pragnęli aby uczyniła wybór pomiędzy gronem licznych zalotników starających się o pozyskanie jéj względów.

Nie chciała wykonywać zakonnych ślubów aby sobie nietamować wolnej woli rozporządzania czasem i majątkiém, a nieraz czuła się bardzo boleśnie rozdrażnioną hołdami i odwiedzinami wielbicieli, którzy niechcieli dać wiary aby

młoda i piękna niewiasta, z czasem nie okazała się powolną ich zamysłom. Przemyśliwała tedy, jakby ich wszystkich razem odstręczyć i uczynić zacisze klasztorne z murów swego zamku, szukała natchnienia ku temu, trawiąc długie godziny na modlitwie w odludnéj zamkowéj kaplicy. A był w onéj kaplicy wizerunek Chrystusa, dzieło jednego z tych średniowiecznych mistrzów, których życie całe było pasmem modlitwy i zachwycenia, dzieła ich noszące piętno ducha który je tworzył, tak silne czyniły wrażenie, że garnęli się ku nim uciśnieni, sądząc, że prędzéj wymodlą łaskę: jakoż bywało nie raz że uzyskiwali ją, a zachęceni tym przykładem drudzy nieśli w toż samo miejsce swe prośby i ofiary, i w ten sposób wizerunek święty, nabywał rozgłos słynącego cudami. Były tam w istocie cuda, ale cuda wiary i modlitwy które zarówno w każdem innem miejscu powtórzyć by się mogły.

Owóż przed takim to wizerunkiem wylewała Anna, żałość swego serca, szukając w niéj ra-

dy i pociechy. Jednego razu, gdy dłużéj jeszcze niż za zwyczaj przebywała na téj wewnętrznéj z Bogiem swoim rozmowie, miała promienne widzenie, które duszę jéj napełniło błogim spokojem. Zdało jéj się, że Chrystus uśmiechając się do niéj łagodnie wyrzekł te słowa: „Córko moja pogardź najpierw wszystką marnością świata, porzuć te bogate szaty u stóp krzyża mego, przywdziéj suknią ubogich prostaczków, a zdobędziesz pokój którego pragniesz!”—

„O dzięki Ci Panie, i mistrzu mój! zawołała z zapałem, pochylając skronie ku ziemi; dzięki za Twe natchnienie: spełnię je w téj chwili!” i powstała z zamiarem wykonania natychmiast swego ślubu.

W progu kaplicy spotkała się z wierną ochmistrzynią, nie odstępną towarzyszką swego dzieciństwa.

— Anno, moja miła rzekła jéj łagodnie poważna niewiasta, musisz znów przenieść próbę którą ci niebo zesłało, Stryi twój, książe Janusz z Ostroga, przybył w téj chwili z no-

wym gościem. Miano jego mnie tylko wyjawił, dla ciebie ma ono pozostać tajemnicą przez dni kilka; tymczasem jednak przyjmiesz ich obu jak na panią tego zamku przystało, dla przyjaźni zaś twego Stryja i względów należnych towarzyszowi jego, ukazać się musisz niebawnie.

— Znów więc — szepnęła smutnie Anna, — znów więc przerywają cichy spokój mego żywota — Dobrze, przyjmę ich dzisiaj, — ale jutro przekonam wszystkich, że i słaba niewiasta wsparta pomocą nieba, wytrwać może w swém postanowieniu!

W najwspanialszej z komnat zamkowych, przy ogniu płonącym na olbrzymim marmurowym kominie, siedział książe Janusz, obok niego na krześle, złoconą skurą wybitém, zajmował miéjsce młodzieniec, dziwnie wdzięcznéj i poważniéj urody; rzekłbyś, że przywykł do uszanowania otaczających, tak swobodnym i dumnym wzro-

kiem powodził do koła. Dworzanie stojący o podal, rozmawiali z sobą z cichym szeptem; nagle rozwarły się drzwi dębowe i stanęła w progu urocza postać młodéj niewiasty, w surowym i poważnym lecz bogatym stroju. Ciemna jedwabna jéj szata spięta była do stanu rzędem dyamentowych guzów, i okładana do koła pięknem futrem soboli; sznury wielkich wschodnich pereł otaczały jéj szyję i wkręcały się w złotą siatkę którą pokryła jasne włosy.

— Witam waszmościów,—wyrzekła cichym i dzwięcznym głosem, skłaniając lekko głowę, raczcie się rozgościć w zamku naszym, jak gdyby we własnym domu.

Zerwał się książe Janusz i powitał synowicę, przedstawił jéj potém przybyłego młodzieńca, jako szlachcica i męża rycerskiego stanu, niewymnieniając jednakże jego nazwiska. Gdy Anna Aloiza sopojrzała na swego gościa, oczy jéj spotkały wzrok jego bacznie w nią utkwiony i zdało jéj, że rysy te nie były jéj nie znane, że je widziała kiedyś.

Cały dzień przeszedł na ogólnych rozmowach, podczas których widno było, że młoda hetmanowa uczyniła wrażenie na nieznajomym. Książe Janusz zacierał radośnie ręce i ukradkiem spoglądał na oboje, dworzanie zaś szeptali z cicha, czyniąc różne domysły nad tajemniczym młodzieńcem.

Przybył on niewiadomo z kąd do księcia Janusza, który go powitał z wielkiem zadowolnieniem i radością; miał z sobą kilku dworzan, ale ci upornie zamilczeli jego nazwisko, z tąd wielkie pole do przypuszczeń i ogólnéj ciekawości: nie podzielała jéj tylko osoba najwięcéj zainteressowana w téj sprawie.

Anna bowiem zimną i nieczułą była na zachwycenie jakie okazywał jéj nieznajomy; równie jak nie ciekawą wiedzieć jego miano. Gdy się mieli udać na spoczynek, książe Janusz rzekł do niéj poufnie.

— Odgadłaś waszmość pewnie, miła synowico, że ten piękny młodzieniec pragnie pozyskać twą dozgonną przyjaźń; nie mogę ci wyjawić je-

go nazwy, bo przyrzekłem zachować ją w tajemnicy do pewnego czasu: wiedz tylko, że równego jemu nie znajdziesz w całéj Litwie i Koronie.....

— Ji cóż mi z tego,—przerwała chłodno Alpiza,—wszak wiecie, że i po za grobem postanowiłam dochować wiary małżeńskiéj temu którego poślubiłam w obec Boga i ludzi; ziemska miłość jest zawsze wielkiem cierpieniem, serce me oderwane od niéj, na wieki Boga już tylko ukochało: zaniechajcie przeto próżnych swatów, i nie czyńcie proszę żadnych nadziei temu rycerzowi, niechaj gdzieindziéj szuka szczęścia, ktorego nie znajdzie w tym zamku.

Książe chciał coś żywo odpowiedzieć ale zbliżył się gość nieznajomy, i niebyło już czasu do dalszéj rozmowy. Nazajutrz równo ze dniem, Anna podzieliła na trzy części wszystkie swe klejnoty, i wzorzyste szaty, jedną znich rozdała służebnym pannom, drugą przeznaczyła na ubogich, a trzecią postanowiła przyozdobić ołtarze Pańskie; potém przywdziała prostą czarną

wełnianą suknię, włosy pokryła zwyczajnym białym rąbkiem, i wyszła do swych gości.

— Cóż znaczy to przebranie, pani synowico? pytał marszcząc brwi Książę Janusz.

— Znaczy ono,—odparła słodko Aloiza, że lubo nie oddzielona od świata klasztornemi kraty, życie me poświęciłam jedynie usłudze Boga i bliźnych, i póki mi go starczy, innéj odzieży nosić nie będę.

Zbladł na te słowa nieznany młodzieniec, i szybkim krokiem opuścił komnatę. Książe zaś srogim zapalony gniewem, zbliżył się do Anny i rzekł jéj z cicha.

— Czy wiesz, nierozważna niewiasto, kto jest ten, którego zabiegi o twą rękę odrzucasz w téj chwili? Czemuż pierwéj przynajmniéj nie czekałaś aż ci da poznać swe nazwisko?

— Może je na zawsze zachować tajemicą dla oblubienicy Chrystusa,— dla wdowy chrześciańskiéj, umarłéj próżnościom i ponętom świata,— odparła poważnie Aloiza.

— Nie to być nie może,— odrzekł, wpatru-

jąc się w nią bacznie książe,— abyś z twemi bogactwy, z twą młodością i jasną urodą, umarłą była za życia. Wiedz zatem że ten nieznajomy, to sam najjaśniejszy królewicz, nasz Władysław, który cię pragnie nazwać swą małżonką! J cóż mi odpowiesz na to? Czyż nie zmiękniesz teraz w twym uporze?

Anna uśmiechnęła się tylko litośnie, spoglądając na zagniewanego stryja i ciągnęła daléj spokojnie.

— Rozumiem więc teraz, dla czego rysy jego wydały mi się dawno znane, dziwnie bowiem podobny do wizerunku ojca swego a miłościwego króla naszego, który zawieszon w téj komnacie. Powiedźcie mu, że żałuję bardzo, że niemogę zadość uczynić zaszczytowi, jaki mi chciał wyrządzić: wdzięczną mu zań jestem, i modlić się będę, aby był szczęśliwym w tém i przyszłem życiu.—Wyrzekłszy te słowa, powstała i wyszła do swych komnat.

Królewicz Władysław zasłyszawszy o rzadkich zaletach i niepospolitéj urodzie hetmańskiéj wdowy, wiedziony ciekawością, zapragnął nieznany w dom jéj przybyć: wykonał swój zamiar za pomocą księcia Janusza.—Pierwszego wieczora Anna taki na nim urok wywarła, że powiedział księciu, jako gotów jest pojąć ją za małżonkę. Książe, który całą duszą pragnął wyniesienia swego domu, nie pomnąc na zamieszania jakie ztąd wyniknąć mogły w kraju, radował się niepomału uczuciem królewicza i umyślił bądź co bądź dopiąć zamierzonego celu. Silny opór ze strony synowicy o rozpacz go przyprawił. Długo jeszcze starał się zmienić jéj postanowienie, i w pare dni dopiero widząc że nic nie poradzi, wyjechał z Ostroga wraz z królewiczem, w którego sercu wzrosła jeszcze cześć dla młodéj niewiasty.

Od owego czasu Anna uwolnioną została od wszelkich zabiegów rozniosła się bowiem szybko wieść, że odmówiła swatów z królewiczem, i nikt już potem nie śmiał starać się o jéj względy. Pozostała więc tak jak pragnęła, oblu-

bienicą Chrystusa duchem, i zakonnéj surowości ubiorem, wolną zaś w uczynkach i rozporządzeniu czasem, korzystała téż nie mało z téj wolności, roznosząc sama wszędzie miłosierdzie i pokój Boży.

Oto co świadczy o niéj wtedy pisarz jéj żywota: „Miłość bliźniego tak wielką była w jéj sercu, że zakładała szpitale, w których sama pielęgnowała i nawiedzała chorych, miała zaufane sobie osoby które jéj wyszukiwały wszelką biedę i nędzę. Podczas głodu w r. 1638 we wszystkich dobrach wyznaczyła pewne codzienne zasiłki, nie tylko dla poddanych swoich, ale dla wszystkich innych miłosierdzia żebrzących, tak że oni ludzie po Bogu, jéj życie swoje winnymi być wyznawali. Często też więźniów i na śmierć skazanych odkupowała, szkody przez nich czynione nagradzając; przestrzegała, aby nikt z jéj poddanych nie był pokrzywdzonym; z pokory wielkiéj, nie lubiła gdy ją księżną i wojewodziną zwaną, przeto ubożuchne szlachcianki mile przyjmowała i w kościele im miejsce obok siebie

dawała. Dwór swój książęcy tak prowadziła, że wszyscy jéj ludzie nie tylko się występków strzegli, lecz i w cnotach różnych ćwiczyli; we wszystkich jéj dworzanach i domownikach jaśniała skromność, pokora i wstrzemięźliwość, panny swoje strzegła od próżnowania sama, z niemi szyjąc i haftując dla kościołów. Co rok w rocznicę swych urodzin, składała tyle dukatów, ile lat liczyła; w wielki czwartek obmywszy nogi dwunastu żebraków, zasadzała ich około stołu i sama im usługiwała tak ochotnie, jak gdyby Chrystusa podejmowała.“

Widziemy z tego opowiadania, że całe życie Anny Aloizy było przygotowaniem do przejścia w świat lepszy, gdzie już oczekiwały na nią duchy jéj miłych. Nie długo też Bóg zezwolił na wieczne jéj połączenie z niemi: umarła nie licząc więcéj nad czterdzieści i kilka lat życia. Pobożny zakonnik, ksiądz Kasper Drużbicki, który ją opatrywał ŚŚ.Sakramentami, wyrzekł w chwili jej śmierci zalawszy się łzami: „Zestarzałem się w zakonie, a nie umiałem tego, czegom się

nauczył przy skonaniu téj pani; teraz wiem dopiero jako trzeba umierać: daj Panie Boże każdemu tak życia dokonać.“ My dodamy jeszcze: Daj Panie i żyć tak każdemu, dozwól, aby promienna aureola cnoty, otaczająca skroń dawnych niewiast Polskich, równie jasnym wieńcem światłości okoliła czoła ich wnuczek.

WSPOMNIENIA SANDOMIRSKIÉJ ZIEMI.

Sandomierz.—Zawichost.—Kościół w Malicach.—Osolin.—Łysa góra.— Klasztor Benedyktynek w Sandomierzu.

SANDOMIERZ.

Stérczące ponuro samotnych bram wieżyce, szczątki zamku i warownych murów, kilka wspaniałych kościołów, a wiele opustoszałych zwalisk, oto jedyne świadki dawnéj wielkości i chwały Sandomierza.

Wspomnienia wywołane ich widokiem napełniają na przemian radośną dumą i smutkiem, serca miłujące pamiątki przeszłości, bo dzieje Sandomierza są wiernem odbiciem dziejów narodu. Za Piastów i Jagiellonów wzniosło się w pyszne budowy miasto, kwitnął handel i przemysł, mnożyły się bogactwa mieszkańców, późniéj zwolna wszystko chyliło się do upadku, a w końcu same gruzy pozostały.

Początki starożytnego grodu pokrywa nie rozjaśniona mgła wieków. Czynią domniemania, że Bolesław Chrobry założył niedaleko ujścia Sanu do Wisły osadę, którą Sandomierzem nazwał, lecz dopiero za panowania Krzywoustego znajdujemy o niéj wzmianki w dziejach. Pierwsze swe wyniesienie Sandomierz winien synowi tegoż króla Henrykowi, który go uczynił stolicą swego udzielnego księstwa. Umieli téż cenić wdzięczni mieszkańcy młodego i walecznego księcia, bo gdy brat jego Władysław chciał zagarnąć Sandomierską dzielnicę, oparli mu się mężnie, i dopomogli wiele do wypędzenia go z kraju.

W roku 1154, Henryk na czele swych wiernych rycerzy udał się do Palestyny. Przez dwa lata walcząc przeciw Saracenom; pod chorągwią Baldwina, wraz z orszakiem złożonym z Sandomierzanów rozgłośną okrył się sławą. Był on jedynym polskim księciem uczestniczącym w wojnie krzyżowéj.

Niezadługo po powrocie do rodzinnéj ziemi, z niewypowiedzianym żalem ludu zginął w potycz-

ce z Prusakami, którzy zdradziecko wraz z wojskiem zapędzili go w bagna. Kazimierz późniejszy król polski rozciągnął błogi swój zarząd nad osierociałą ziemią, a powołany na tron, uczynił jéj wojewodą, zacnego męża Mikołaja herbu Bogorja.

Gdy umarł Bogorja zajął jego miejsce znany w dziejach naszych cnotliwy Goworek. Schroniła się wtedy pod jego opiekę wdowa Kazimierza Helena wraz z małym Leszkiem Białym i córką Adelajdą. Pod przewodnictwem Goworka wzrastał Leszek, ucząc się cenić przyjaźń nad ułudny blask tronu. Adelajda zaś tak umiłowała piękną Sandomierską ziemię, że umyśliła na zawsze w niéj zamieszkać, poślubiwszy Bogu młodość i cudną urodę, ciało błogosławionéj dla licznych cnót dziewicy, spoczywa dotąd w kościele Śgo Jakóba, który wybudowała. W roku 1204 Roman książe Halicki, napadł na Sandomierz, a nie mogąc go zdobyć, popalił przedmieścia. Leszek użaliwszy się krzywdy swego dobrego miasta; ścigał najeźdzcę i dognawszy pobił go pod

Zawichostem. Ciało poległego w téj bitwie księcia Romana pochowane w Sandomierzu, późniéj za tysiąc grzywien srebra wykupione zostało.

Rok 1195 pamiętny dla Sandomierza wyniesieniem na probostwo katedralne błogosławionego dziejopisa naszego Wincentego Kadłubka. Zamieszkiwał tam, dopóki nie został na krakowskie powołany biskupstwo. Umarł i pochowany w Jędrzejowie, obecnie jednak kości jego sprowadzono do Sandomierza.

Gdy Leszek powrócił na tron ojcowski, zarządzał Sandomierzem wojewoda Pakosław, późniéj czuwał tamże pilnie nad synem jego Bolesławem Wstydliwym. Wydobyty z opieki Konrada księcia mazowieckiego, aż do wstąpienia na tron przebywał Bolesław w domu Pakosława.

W roku 1241, tatarzy pod wodzą Battego zrabowali Sandomierz; ścigał ich Pakosłew i dopędziwszy pod Chmielnikiem zginął w krwawéj bitwie; aliści niczem była ta klęska w porównaniu tego, co wycierpiano podczas napadu w r. 1260 Waleczny Piotr z Krempy był wtedy dowódzcą

załogi Sandomierskiéj.— Uwikłamy w sidła nieprzyjacielskie podejściem i zdradą, najpierwszy poległ z rąk niewiernych którzy potem rozpoczęli rzeź w całém mieście. Wielebny Sadok, przeor Dominikanów, przy dziś jeszcze istniejącym kościele i klasztorze w którym niegdyś przemieszkiwał Sty Jacek, miał cudowne objawienie na trzy dni przed tem, jako wraz z czterdziestu zakonnikami poniesię śmierć męczeńską. Gotowali się przeto wszyscy do przejścia w tajemnicy przyszły żywot, i szable tatarskie znalazły ich z pieśnią *salve Regina* na ustach.

Król Bolesław Wstydliwy uprosił papieża Alexandra IV, aby męczeństwo wiernych sług kościoła obchodzone było uroczystym odpustem. Bonifacy VIII, a potem Urban wydali bullę zatwierdzającą tenże odpust i dotąd w Sandomierzu święto owych zakonników odprawia się w dzień ich męczeństwa. Po Piotrze z Krempy Janusz herbu Janina, był starostą dźwigającego się powoli z gruzów, miasta. Na czele okolicznéj szlach-

ty wygnał on Swarna Przemyślskiego księcia, plądrującego po kraju.

Po śmierci Bolesława Wstydliwego, synowiec jego Leszek Czarny został Sandomierskim księciem. Zaczął zaraz naprawę zburzonych murów i wałów, kazał po pod miastem wykopywać podziemia, w których w czasie ponowionego w lat kilkanaście napadu Tatarów, przechowywano kosztowniejsze sprzęty. Ochroniła wtedy miasto córka bohaterskiego Piotra Krempy, Helena wdowa Piławity. Przywiedziona do rozpaczy śmiercią męża poległego z rąk pogan, objęła dowództwo warowni i odwagą swą i roztropnością zdołała ją ocalić.

Prawem dziedzicznem księztwo po śmierci Leszka spadło na brata jego Władysława Łokietka, ale mieszkańcy obrali sobie Bolesława syna Konrada Mazowieckiego.

Niezadługo potem Łokietek przeszedłszy różne koleje, odzyskał swą dzielnicę. Ustąpił z niéj dopiero w roku 1293, składając hołd Przemysławowi, ukoronowanemu królem polskim i wte-

dy Sandomierska ziemia zaprzestała być oddzielném księztwem.

Po śmierci Przemysława i następcy jego Wacława, Sandomierzanie najpierwsi przyjęli w swe mury Władysława Łokietka i dopomogli mu wiele do odzyskania tronu. Wdzięczny król nadał im wiele przywilejów, między innemi, dozwolił kupcom sprowadzać bez opłaty cła, towary z Węgier.

Za Kazimierza W. doszedł Sandomierz do najwyższego stopnia swéj pomyślności; król który z drewnianéj zostawił Polskę murowaną, nie zaniedbał przyozdobić we wspaniałe świątynie i gmachy gród nawiedzony przedtém tylą klęskami. Uwolnił mieszkańców od opłat cła przy sprowadzeniu towarów nietylko z Węgier, lecz z całéj Europy i innych części świata. Gdy w roku 1370 odwiedził ulubione sobie miasto, było uciechy i biesiad bez miary. Na zamku przyjmował dobrego króla starosta Andrzéj Pieniążek, wśród radośnych okrzyków ludu.

Cnotliwa królowa Jadwiga również nawiedzała Sandomierz tak łaskami jak obecnością; prze-

chowują dotąd w skarbcu katedralnym, jako drogą pamiątką parę jéj rękawiczek. Darowała kolegiacie wieś Świątniki z warunkiem, aby jéj mieszkańcy nie pełnili innych obowiązków, prócz służby kościoła, czego też Świątniczanie po dziś dzień nie zaniedbują.

Władysław Jagiełło jadąc na ślub do Krakowa, nie pominął Sandomierza. Kazimierz Jagiellończyk gościł także czas jakiś w tamtejszym zamku. Za jego panowania słynny Jan Długosz był kilka lat kanonikiem katedry Sandomierskiéj i dwie wsie na własność jéj zakupił.

Jan Albert postanowił, aby Sandomierz używał wszystkich praw miast większych. Na mocy tego przywileju, wysełali Sandomierzanie posłów na sejmy a późniéj zaś na elekcje królów.

Zygmunt Iszy potwierdzając przywileje swych poprzedników, wiele nowych pododawał. Za jego panowania odbył się w Sandomierzu synod, na którym nastąpiło połączenie różnowierców i stanęła ugoda, że zostawując sąd Bogu, każdemu zabezpieczona będzie wolność wyznania. Nastę-

pni królowie w wielkiéj pieczy mieli miasto wsławione walecznością i wiernością mieszkańców. Każden dodawał nowe, podnoszące byt jego przywileję.

Za Zygmunta III zebrało się w Sandomierzu kilkadziesiąt tysięcy szlachty i pod wodzą Zebrzydowskiego podniosło rokosz, który uśmierzony został pod Guzowem. W tych czasach właśnie Hieronim Nałęcz Gostomski starosta Sandomierski wybudował kościół Śgo Piotra, oddając go Jezuitom, którzy przy nim założyli szkołę.

Za Władysława IV jaśniał jeszcze Sandomierz w rzędzie miast polskich, ale był to już blask lampy mającéj wkrótce zagasnąć, jakoż za Jana Kazimierza widocznie do upadku chylić się zaczął. W r. 1656 zrabowali go Szwedzi, a niezadługo co oni jeszcze pozostawili zabierał Rakocy, książe Siedmiogrodzki. Późniéj Sandomierz brał udział w wypadkach zachodzących w kraju jakoto to: w elekcji Korybuta, w zamieszkach za Augusta II, którego nawet przyjmował w swych murach. Za Augusta III srogi ogień do nędzy przywiódł większą część mieszkańców.

Stanisław August chciał podnieść gród upadający i byłby może tego dokazał, gdyby nie przejście Sandomierza pod panowanie austryjackie, a następnie wojna w r. 1809, podczas któréj zniszczał do reszty. Późniéj w cielony do księztwa Warszawskiego zaprzestał być stolicą województwa i wtedy już można było na miejskiéj bramie położyć grobową tablicę z łacińskim napisem: tak przechodzi chwała tego świata!

ŻAWICHOST.

Na wzniesionem Wisły wybrzeżu, po nad pasmem rozległych równin i wzgórz wyniosłych, ułożyło się ubogie drewniane miasteczko. Z jego nędznych nowo pobudowanych lepianek niepodobna odgadnąć jak odległéj sięga starożytności. Nie dojrzysz tam nigdzie nawet szczątków starych murów; jeden tylko klasztor i kościół Franciszkanów świadczy wymownie o przeszłości. Wspaniały ten przybytek wiary pobożnych ojców naszych, samotny w miejscu gdzie sześć wieków żadnéj innéj nie pozostawiło pamiątki, przemawiać zda się, że sam czas poszanować umie dzieła ludzkie, którym myśl Boża przewodniczyła. Z warownego królewskiego zam-

ku siedliska możnych kasztelanów i starostów Zawichosta — z pysznych domów bogatych mieszczan i cegełki nie pozostało, a dzwony świątyni Pańskiéj zwołują dziś na modlitwę wiernych jak zwoływały za czasów Grzymisławy i Salomei świątobliwych założycielek klasztoru.

W roku 1204 pierwszą w dziejach naszych znajdujemy wzmiankę o Zawichoście, z powodu odniesionego tamże zwycięztwa Leszka nad Romanem Halickim księciem. Spaliwszy i zrabowawszy przedmieścia Sandomierza, uciekał Roman przed ścigającym go Leszkiem, dognany i pobity pod Zawichostem, rzucił się z koniem w Wisłę chcąc ją wpław przebyć, lecz i tu prawica Boża dosięgła najeźdcę i życiem przypłacił swe grabieże. W roku 1241, Tatarzy, ta owczesna plaga ziemi naszéj, ogniem i mieczem nawiedzili Zawichost. Niezadługo potém Bolesław Wstydliwy, na prośby matki swéj Grzymisławy, wybudował dzisiejszy kościół i klasztor. Działo się to właśnie w epoce, w któréj Franciszek z Assyzu, pełen lat i zasługi, powołany został, po jasny niebiańskiéj chwały wieniec.

Tkliwy i łagodny ten święty, którego miłosierdzie ogarniało wszystkie stworzenie, a serce tak wielką miłością Boga pałało, że uczuł srogim bólem odbicie ran Jego, zostawił liczny zastęp duchowych synów Franciszkanami zwanych. Główną ich regułą było nauczanie trzech wielkich cnót chrześcijańskich, zamiłowania ubóstwa, cierpienia i pokory. Nazwa minorytów czyli braci mniéjszych, przypominać im miała, jako się uważać powinni za ostatnich z ludzi i gotowemi być do zniesienia pogardy, zniewagi i prześladowania. Zakon ten, jak wszystkie katolickie zgromadzenia, stworzony potrzebą wieku, w którym powstał, rozrastał się z nadzwyczajną szybkością. Bolesław i Grzymisława oddali mu nowo wzniesioną przez siebie świątynię. W kilka lat potem Śta Salomea wybudowała w pobliżu drugi gmach dla klarysek, których była przełożoną. Bolesław opasał warownym murem kościół i oba klasztory, ponadawał im także liczne przywileje i dochody z miasta.

Garnęli się ze wszech stron polski do Zawichosta, zwolennicy reguły Sgo Franciszka. Oddawano także pod baczną pieczę siostry królewskiéj, córy najznakomitszych rodzin, tak te które miały pokryć głowy poświęconą zasłoną jak te którym żyć przeznaczono w świecie. Nie długo jednakże oba zgromadzenia cieszyły się błogim spokojem.

Nadszedł rok 1260 krwawemi zgłoski zapisany w dziejach panowania Bolesława Wstydliwego. Liczne hordy Tatarów zalawszy kraj cały otoczyły Zawichost, pękły pod naciskiem ich mury klasztorne i sześćdziesiąt szlachetnych dziewic, oraz kilkunastu kapłanów pomnożyło w niebie męczenników grono.

Święta Salomea, nieobecna podówczas w Zawichoście, niepowróciła tam już więcéj, srogą żałością przejęta. Przygarnęła do dawnego swego ustronia w Skale pozostałe przy życiu towarzyszki, a opustoszały klasztor oddała Franciszkanom. Zamieszkiwali go odtąd spokojnie aż do roku 1657, w którym ucierpieli znów wiele od

wojsk najezdniczych Karola Gustawa. Przeprawiwszy się przez Wisłę pod Zawichostem, rozkazał on spalić zamek i miasto, a chciwi łupu żołnierze zrabowawszy klasztor, zamordowali kilku zakonników niechcących im wydać mniemanych skarbów.

Zniszczony kościół odnowiony i poświęcony został w roku 1672 przez Tomasza Oborskiego, sufragana Krakowskiego, jak to świadczy wmurowany w ścianę kamień z łacińskim napisem. Późniéj, Stanisław z wielkiéj Opoki Opoczyński i żona jego Zofia z Milanowa, przybudowali kaplicę przy któréj pochowane ich zwłoki. Drugi naprzeciw marmurowy grobowiec, zajmuje Zofia z Bobrska Słupecka, starościna Zawichostska. Szkoda wielka, że przy nowéj restauracyi kościoła jakaś świętokradzka ręka wyrzuciła starożytną marmurową tablicą z grobowym napisem Grzymisławy. Zewnętrzny kształt świątyni zbliżony bardzo do współczesnego jéj kościoła Dominikanów w Sandomierzu, wnętrze zaś zeszpecone wielce nowoczesnemi,

jaskrawemi freskami. Klasztor dzisiejszy dwóch tylko mieści zakonników, gwardjana i kaznodzieję, którzy zamieszkują dwa przeciw ległe końce opustoszałego gmachu, niby strażnicy męczeńskich kości swych poprzedników. Przechowują oni pobieżny rys dziejów klasztoru, spisany z dawnych, dziś zaginionych aktów.

Pod samym Zawichostem w miejscu gdzie zapewne dawniéj ciągnęło się jeszcze miasto, leży folwarczek zwany Trójcą, starożytny murowany w nim kościołek, mieści w wielkim ołtarzu obraz Smuglewicza przedstawiający Trójcę Stą, boczne zaś ściany przyozdabiają wizerunki apostołów i wyznawców pędzla Stachowicza. Akta kościelne wzmiankują jako ówczesny proboszcz Trójecki kanonik katedry Sandomierskiéj, zakupił je od rzeczonego malarza, płacąc po tysiąc dwieście złp. za obraz. Obrazy te w liczbie czternastu dobrze zachowane, w dobrém umieszczone świetle, czynią skromny wiejski kościołek ozdobniejszym od niejednéj na pozór wspaniałéj świątyni. W okolicy Zawichosta znajduje

się także wieś Piotrowin pamiętna cudem, którym Bóg oddał świadectwo prawdzie na prośbę Śgo pasterza Stanisława ze Szczepanowa.

Kościół w Piotrowinie, starożytną swą budową, zdaje się być współczesnym cudowi. Sciany jego okryte malowidłami i napisami, opiewającemi łaski doznane przez wiernych, za przyczyną Śgo Stanisława; opodal istnieje jeszcze wspaniała lipa, która, jak mówi podanie, jego ręką była sadzona, na pamiątkę okazanéj widomie, czuwającéj zawsze nad sprawiedliwemi, niewidoméj opieki.

KOŚCIOŁ W MALICACH.

Piérwsze chwile rozdwojenia Kościoła smutniejsze były dla całego chrześciaństwa, od epoki w któréj Rzymskie cezary przelewały krew wiernych dla zabawy pogańskiego ludu, bo w tedy ludzkość odkupiona znakiem krzyża, pojmowała jego znaczenie i każde męczeństwo, było nowym tryumfem odwiecznéj prawdy. Lecz gdy wyznawcy Chrystusa w błąd popadli, gdy jedni nie stosowali życia do nauki Kościoła, drudzy upatrywali powód złego w samych zasadach téj nauki, a inni znów chcieli nawracać zbłąkanych ogniem i mieczem, wtedy oblubienica Chrystusa pokryła się żałobą, i gdyby jéj ustawy ludzkiém były dziełem, upadłyby były niezawodnie w gru-

zach i zgliszczach. Lecz co w niebie poczęte, zaginąć nie może na ziemi; w zamroczonéj przestrzeni chrześciaństwa, zajaśniały wtedy ognistemi zgłoski słowa Chrystusa: „Buduję Kościół mój na opoce, którą jest Piotr!" Wzbudziły one w narodach, mężów wielkich duchem i czynem, którzy pochodnią wymowy rozjaśnili drogę błądzących umysłów, i znów co wielkie i święte, dawném zaświeciło życiem.

Ale wróćmy do owych czasów smutku Kościoła, w których i do naszéj Polski zawitała była nowa nauka: nie mało jéj się chwyciło, a pomiędzy niemi bywali i tacy, co krwią gotowi byli stwierdzić swe przekonanie.

Pan Bartłomiéj na Malicach, Malicki, dzierżył wtedy włość tego imienia, wraz z małżonką swą Anną z Gozlic: długo Bóg odmawiał im potomstwa, gdy więc doczekali się syna, złożyli w nim wszystkie swe radości i nadzieje. Ojciec rad był pozyskać temu dziecięciu wszystkie zaszczyty i przymioty w ludziach cenione; matka zaś chciała tylko widzieć w niem prawego syna ojczyzny i Kościoła. Jak tylko

chłopię podrastać zaczęło w lata i niezwyczajną bystrość rozumu, pan Bartłomiéj rósł w pychę, i przemyśliwał, jakby go nad okoliczną szlachtę wywyższyć. Dostatkiem miał ziemi zostawionéj w puściznie po ojcach, więc nie zapragnął jéj przymnażać, chciał tylko wzbogacić umysł syna nauką, i w tym celu umyślił wysłać go do sąsiednich Niemięc. Zabolała nad tém postanowieniem męża pani Anna, i całą duszą rada była zatrzymać w kraju jedynaka, lękając się dla niego wpływu obczyzny; ale pan Bartłomiéj byłby uważał za ujmę swéj godności posłuchać rady niewieściéj: odwracał się w inną stronę lub wychodził z izby, ilekroć żona mówiła, że rośliny nawet najlepiéj pod ojczystem hodują się niebem; że trudno zjednać sobie miłość bratnią temu, który z bracią nieprzestawał za młodu; jak również niepodbna służyć z pożytkiem krajowi, którego się nie zna obyczaju.

Młody Wojciech Malicki, pychą i uporem podobnym był ojcu, a że od dzieciństwa dręczyła go nienasycona dotąd żądza wiedzy, więc nie zawahał się widokiem łez matki; i skoro mu tylko

ojciec objawił, że od niego samego zależy wyznaczenie dnia wyjazdu, przyspieszył go o ile można było, rzucając się radośnie w świat dalski i nieznany. Dwa lata od wydalenia z domu młodzieńca, ubiegły matce we łzach i tęsknocie ojcu zaś w wzruszeniach dumy i wesela, bo syn często o sobie dawał wieści, jako najpierwszym był pomiędzy uczniami obcéj wszechnicy, jako wszystkie zyskiwał poklaski.

Nieco późniéj jednakże, wiadomości te rzadziéj przychodzić zaczęły, i pismo Wojciecha dziwnie jakoś niezrozumiałe brzmiało; rzekłbyś, że ukrywa tajemnicę, którą pragnie i lęka się zarazem wyjawić: ponieważ jednak donosił, że w nauce zawsze jednakie czyni postępy, ojciec nie przestawał być dobréj myśli. Ale zaniepokojona matka nie znajdując u męża rady ni pociechy, umyśliła zwierzyć poufnie swą troskę sędziwemu Malickiemu proboszczowi; pobożny kapłan, który oblewał niegdyś wodą chrztu skroń Wojciecha i kochał go jak syna, zadrżał odczytując wyrazy swego niegdyś ucznia. Biegły w znajomo-

ści serca ludzkiego i chorób owego wieku, odgadł odrazu to, co niezrozumiałem było rodzicom; niechcąc jednak rozdzierać im serca, zamilczał swe domniemania, i radził tylko, aby o ile można najprędzéj sprowadzić do domu młodzieńca.

Pani Malicka przerażona już coraz więcéj, póty płakała, póty błagała męża, aż wreszcie zawezwał syna z powrotem.

W kika miesięcy potem, w miejsce oczekiwanego przybycia, przyszedł od Wojciecha list, po przeczytaniu którego, ojciec padł i nie powstał już więcéj; rażonego śmiertelnie zanieśli spłakani do mownicy na łoże, gdzie parę tygodni tylko przewlókł zatrute głęboką boleścią życie. Wojciech, syn jego jedyny, na którym opierał tyle nadziei, wieczną żałobą okrył starożytny klejnot swego domu, bo odstąpił od wiary ojców i pojął za żonę kobietę obcego plemienia, wychowaną w nowéj nauce. Ramiona nieszczęśliwéj matki, ugięły się pod ciężarem srogiego krzyża, nie upadła jednakże pod nim, podtrzymywana nadzieją zwrócenia na dobrą drogę ukochanego dziecięcia. Sil-

niejsza duchem niż ciałem, żyła z modlitwą na ustach w oczekiwaniu przybycia syna.

Proboszcz zawiadomił Wojciecha o śmierci ojca, i o tem co ją spowodowało; słowa jego pisma tchnęły przebaczeniem i pokojem, lubo w nich głęboka przebijała żałość. Czytając je Wojciech Malicki, zadrżał i zapłakał nad nieszczęściem, które ściągnął na swą głowę. Pospieszył rzucić się do nóg matce, i w pierwszem uniesieniu byłby może powrócił na łono ojcowskiego Kościoła, gdyby go nie powstrzymała w tym zapędzie młoda jego małżonka. Była ona córką protestanckiego ministra, wyćwiczona w zasadach nowéj nauki, przytém niepospolitéj urody i wielkiego hartu duszy, owładła zupełnie chwiejącym się umysłem Wojciecha.

Gdy się otrząsnął za jéj namową z wrażeń doznanych w chwili powrotu do domu, postanowił śilnie oprzeć się przedstawieniom matki i proboszcza; jakoż nietylko dokonał tego, lecz nadto przemyśliwał już skrycie, jakby się pozbyć sędziwego kapłana i przemienić starożytny kościół

swéj włości na świątynią nowego wyznania. Nie śmiał czynić jawnych ku temu kroków, przez wzgląd na dawny stosunek proboszcza ze swą rodziną; tymczasem więc otaczał się ciągle współwyznawcami sprowadzonemi z Niemiec, którzy pobudzali go tylko do stanowczego kroku.

Łatwo odgadnąć, jakie było wtedy życie pani Malickiéj. Syn ukochany stronił od niéj, lub w ponurém milczeniu przesiadywał chwile które spędzali razem; słyszała wkoło naigrawania z tego co przywykła była od kolebki czcić i szanować. Jedyną i zupełnie niespodziewaną dla niéj pociechą była owa synowa, która wniosła w dom jéj smutek i żałobę. Niepodobna było nie pokochać jéj rzadkich przymiotów, poznawszy je trochę, łatwo zaś wybaczyć można było przywiązanie do zasad, w których ją wychowano i które przeto wydały się jéj najdoskonalsze. Przeczuciem serca pojmowała ona cierpienia biednéj matki, i starała się osładzać je o ile tylko było w jéj mocy; z ust jéj nigdy nie wyszedł wyraz lekceważenia, bo przywiązana głęboko do swe-

go wyznania, umiała szanować podobne uczucie w drugich.

Umarł wreszcie proboszcz Malicki, i śmierć ta stała się hasłem dla Wojciecha; niebaczny na łzy matki a nawet na prośby żony, na czele swych siepaczy wpadł do świątyni Pańskiéj zburzył jéj ołtarze, popalić kazał ozdoby i ubiory kościelne, i wprowadził oczekującego zdawna téj chwili ministra nowych obrzędów.

Ostatni cios ten zerwał wątłą nić życia pani Malickiéj, legła w grobie obok męża, wzywając miłosierdzia Boga dla obłąkanych; płakała jéj szczerze cudzoziemka synowa, bo obie te piękne dusze były sobie pokrewne, lubo przekonania ich odmienne były. Wojciech Malicki przejęty cały dzikim fanatyzmem, mało uczuł śmierć matki i nie cofnął się z drogi na którą wstąpił po trumnach obojga rodziców. Jedyny i podobny mu zupełnie syn Krzysztof, objął po śmierci rodziców Malice, stanowiące już w tedy potężną osadę złożoną z wyznawców Kalwina; Krzysztof pojął za żonę Barbarę Turską, równie jak on gorliwą

o dobro nowego wyznania: synowie ich Jan i Mikołaj, wstępowali w ślady dziadka i ojca.

W siedmdziesiąt dwa lat po wyżéj opisanych wypadkach, wielebny Tomasz Oborski, suffragan Krakowski i biskup Laodyceński, zajmował się wszystkiemi opuszczonemi świątyniami w kraju; wraz z innemi, przyszła koléj na kościół Malicki od tylu lat pozostający w rękach innowierców. Zabolał srodze bogobojny kapłan nad takowem zapomnieniem świątyni Pańskiéj i osieroceniem jéj parafian, umyślił wysłać pasterza, któryby przywiódł wszystko do dawnego stanu. Zachodziła jednakże wielka trudność w wyborze ku temu, albowiem w owych czasach powszechnego rozjątrzenia umysłów w sporach religijnych, nie łatwo znaleźć było człowieka, któryby potrafił utrzymać swą gorliwość w należnych karbach.

Ksiądz Wacław Kostecki zdawał się łączyć głęboką znajomość serc ludzkich z pożądaném

umiarkowaniem i łagodnością, jego więc przeznaczono na plebana malickiéj parafii. Stósownie do praw kościelnych, skoro kolator Málicki nie chciał mianować proboszcza, biskup Krakowski przyjmował na siebie to prawo i wyprawiał księdza Kosteckiego do jego nowych obowiązków; działo się to w r. 1637.

Pochylony wiekiem Krzysztof Malicki siedział w swéj komnacie, obok niego żona Barbara, często odrywała oczy od przędzy, aby spójrzeć ku bramie dziedzińca, bo tamtędy przybyć mieli z Opatowa obaj jéj synowie. Niezadługo zatętniały kopyta końskie i młodzieńcy weszli do świetlicy. Pan Krzysztof ocknął się z głębokiéj zadumy na ich powitanie, i wszczęła się rozmowa o wypadkach dziennych, i o tém, co słychać było w miasteczku z którego powracali.

Słońce miało się już ku zachodowi i była to pora, w któréj młodzi Maliccy roczhodzili się za

zwyczaj zajrzeć do stodół lub w pole; lecz tą razą zatrzymali się jeszcze, i jęli coś szeptać cicho niby radząc: czy mogą wspomnieć o tem głośno. Zauważyła to matka i jęła wybadywać ażali złą jaką wieść przynoszą.

— Jak to sobie zechcecie tłumaczyć, — ozwał się w tedy głośno starszy, Mikołaj, — ale nam się zdaje, że gdyby ustąpić, nicby nie było złego.

— Ustąpić, w czem? — zagadł, marszcząc brwi ponure pan Malicki.

— Trzebać bo zawsze w końcu powiedzieć wam wszystko panie ojcze, tylko nie unoście się gniewem, bo my temu nie winni, ciągnął w tedy daléj zagadniony Mikołaj, — owoż słyszeliśmy dziś w Opatowie, że wysłano z Krakowa proboszcza, który chce zająć w posiadanie kościół Malicki, a ponieważ mówiono także, że w razie oporu z waszéj strony, ma prawo użyć gwałtu, więc my sądzimy, że lepiéj byłoby dobrowolnie ustąpić, i nowy zbór wybudować dla siebie.

— Nigdy! — zawołali, zrywając sie razem oboje rodzice.— Póki żyć będę,— wołał gniewnie pan Krzysztof,—nie dozwolę, aby papiści odprawiali swe bałwochwalcze obrzędy, w miéjscu uświęconém lat tyle czystą modlitwą prawdziwych wyznawców ewangelicznéj prawdy.

Pani Barbara wtorowała słowom męża, i również była oburzoną tak zjazdem proboszcza, jak tém, co zwała słabością synów.

Sprzeczka ta przerwaną została przybyciem nowego gościa.

Pan Wojciech Odrowąż Kitliński, dziedzicsąsiedniego Pilaszowa, nie bywał nigdy w Malicach, podzielając oburzenie okolicznéj szlachty za zniszczenie i nieprawne zatrzymanie tamecznego kościoła, przez które poblizcy parafianie zmuszeni byli w odległych miejscach szukać łask Bożych skarbnicy. Zdziwili się zatém nie pomału państwo Maliccy jego odwiedzinami, i odgadli odrazu że mają na celu to, o czem w téj chwilj tak żwawą toczyli rozmowę. Dziedzic Pilaszowa oświadczył im w istocie, że przybył w celu nakłonienia

ich do zgody i pokoju. Nie żądano nic więcéj od pana Krzysztofa, tylko żeby oddał Kościołowi budowę wydartą niegdyś gwałtem przez jego ojca; zresztą nie tamowano mu wolności wyznania, ani téż wzbraniano wybudować innego zboru.

Na tak łagodną i umiarkowaną przemowę, pan Krzysztof porwał się gniewnie i oświadczył: że nigdy dobrowolnie nie wéjdzie w żadne układy, i przemocą chyba zdołają wydrzéć mu kościół.

— A i tego nie łatwo dokażecie, — dorzuciła pani Barbara,—bo mamy tu serca i ramiona gotowe bronić dobréj sprawy.

Ale zastanówcie się nad krwią, która przelać się może wtedy i spadnie na głowy wasze przedstawiał jeszcze Kitliński.— Zastanówcie się, że my koniecznie musimy odebrać nasz kościół, czyżby nie lepiéj wam było oddać go zgodnie?

Daremne były te i podobne im przedstawienia, nic nie mogło przełamać oporu Malickich; w końcu słuchać już nawet nie chcieli mowy Kitlińskiego: młodzieńcy tylko milczeniem swém dawali do zrozumienia, że nie podzielają zdania rodziców.

Niespokojnie przechadzał się ksiądz Wacław Kostecki w obszernym dworcu Pilaszowskiego pana, oczekując jego powrotu; gdy tylko usłyszał turkot wózka, wybiegł pospiesznie pytając o wieści z Malic?

— Spodziewałem się tego!— odrzekł smutnie posłuchawszy opowiadania Kitlińskiego,— ale ufam zawsze w Bogu, że pozwoli zmiękczyć ich serca, i że obejdzie się bez gwałtów na które wzdryga się ma dusza. Jutro sam pójdę do nich i póty będe jeździł, póki się nie dadzą nakłonić do zgody, może też powolną cierpliwością potrafimy coś uzyskać. Wszak powiedziano: „Kołaczcie, a otworzone wam będzie.“

Nie podzielał w zupełności tego zdania panna Pilaszowie, ale zamilczał, nie chcąc zrażać kapłana, któremu się dostała w udziele i tak już ciężka sprawa. Ksiądz Wacław jak wyrzekł tak uczynił, ale na nic się nie przydały te i następne jego odwiedziny Malic: Krzysztof i Barbara obstawali przy swojem. Niepodobna już było prawie powstrzymać niecierpliwości parafian, którzy

uradowani przybyciem proboszcza, czémprędzéj chcieli go widzieć na właściwém miejscu—On zaś modlił się tylko i prosił ich o cierpliwość.

Pewnego poranku, gdy wyszedł na ranne pacierze, uderzony został niezwykłą ciszą w całéj wiosce; wszystkie domy były puste i zamknięte; same dzieci tylko kręciły się wkoło, a nie był to czas roboczy, któryby ludzi wyganiał w pole. Jedno z pacholąt zagadnięte gdzieby znajdowali się rodzice, opowiedziało wtedy: jako i oni, i wszyscy sąsiedzi, i wiele jeszcze ludu z okolicznych wiosek, skoro tylko dzień zaświtał na niebie, uzbroiwszy się w kosy i siekiery, poszli do Malic. Odgadł przyczynę téj wyprawy ksiądz Wacław, i najżywiéj przerażony poszedł czemprędzéj zapobiedz nieszczęściu. Droga była nie daleka, i zdało mu się zrazu, że ją prędzéj przebędzie pieszo, nie tracąc czasu na wyszukanie i zaprzęganie koni; ale niestety, przekonał się wkrótce, że lepiéj było powrócić do domu i dopasć konia, bo z za gór dolatywać go już zaczęły krzyki walczących, a pieszo nie mógł tak prędko przebyć

oddzielającéj go od nich przestrzeni. Bez tchu prawie w piersiach dobiegł wreszcie kresu swéj podróży, ale zastał już tylko pobojowisko okryte trupami, a nieco daléj ciała pobranych żywcem w niewolę kalwinistów kołysały się pozawieszane na drzewach. Miejsce tego strasznego doraźnego sądu podziś dzień lud ukazuje i zowie Szubienicą; wioska zaś, pod którą różnowiercy stoczyli walkę, zwie się Męczennice. Pobożny kapłan gorzko zapłakał nad zwycięzcami i nad zwyciężonemi, i użył całéj siły swéj wymowy, aby wstrzymać piérwszych od ścigania reszty nieprzyjaciół, którzy się już do swych domów schronili, pomiędzy temi był także pan Krzysztow i obaj jego synowie ciężko ranieni.

Zostawiwszy jednę część ludu dla grzebania ciał zmarłych, udał się ksiądz Wacław z drugą dla objęcia niezwłocznie w posiadanie odebranego kościoła. Gdy się zbliżyli do drzwi jego, nowa zapora zatamowała im drogę do wnętrza. Pani Barbara Malicka, w podartéj i krwią zbroczonéj odzieży, z włosem na wiatr rozwianym, trzymała sil-

nie obiema rękami ciężką żelazną kłódkę, broniąc w ten sposób wejścia do świątyni. Wszyscy rzucili się ku niéj gniewnie, ale ksiądz Wacław otoczył ją swą opieką, i nie dozwolił uczynić krzywdy; a gdy uporna niewiasta nie chciała puścić kłódki, odrąbano skobel i pozostawiono go w jéj ręku.

Kościół malicki istnieje dotąd modrzewowe ściany nie jedną jeszcze przetrwaćby mogły burzę, dach tylko i wnętrze potrzebuje odnowienia; we wnątrz kościoła znajduje się zatarty stary łaciński napis następującéj osnowy: „Ku Boga wielkiéj chwale, kościół ten od heretyków sprofanowany, i przez lat siedmdziesiąt dwa w ich mocy będący, szanowny Wacław Kostecki za pomocą parafian odebrał, dochody prawem odzyskał, i wszelki sprzęt kościelny na nowo sprawił.“ Drugi napis brzmi, jako po tém odebraniu, kościół Malicki na nowo był poświęcony przez Tomasza Oborskiego, sufragana Krakowskiego, biskupa Laodyceńskiego.

OSSOLIN.

Sławną i zasłużoną w Polsce była Toporczyków Ossolińskich, rodzina. Gniazdo jéj Ossolin leży w pięknych okolicach Sandomierza, lecz szczątki tylko zburzonego zamku świadczą, jako nędzna ta dzisiaj wioseczka inną niegdyś miała postać. Napis na schowanéj w ziemię na wzór Betlejemskiéj kapliczce, przypomina że dziedzice miejsc tych do rodowego klejnotu, mitrę dołączyli książęcą, a liczne podania głoszą, jako ten który wybudował wspaniały zamek, w miejscu gdzie teraz dzikie głogi rosną na zwaliskach, Włochom chciwym drogiego kruszcu złote porzucał podkowy. Jakkolwiek przesadzoną wydaje się takowa hojność, jednakże w istocie miała miejsce.

W roku 1633, podskarbi nadworny Jerzy na Tenczynie Ossoliński, wysłany przez króla Władysława IV posłował do stolicy Apostolskiéj; wjazd jaki tamże odprawił długo był pamiętny

mieszkańcom siedmiu pagórków, opis jego dochowały nam ówczesne pisma.

W dniu 28 listopada, wyżéj wymienionego roku, główne ulice Rzymu zalegały ciekawe tłumy oczekujące jakiegoś niezwyczajnego widowiska. Około południa rozstąpiły się przejeżdżającemu Monsignore Faustopoli arcybiskupowi Amazyi, którego Ojciec Śty wysłał w gronie swéj gwardji i wielu znakomitych cudzoziemców, na spotkanie posła polskiego. Niezadługo szmer i krzyki podziwienia słyszeć się dały pomiędzy ludem oblegającym bramę zwaną *porta del popolo*, bo ukazał się w niéj niewidzianéj wspaniałości orszak. Naprzód na dzielnych koniach okrytych bogatym rynsztunkiem, ujrzano dwóch szkarłatem przyodzianych jeźdźców, za niemi postępowało dziesięć wielbłądów okrytych pąsowym aksamitém haftowanym w rozmaite wzory pomiędzy któremi herby Ossolińskich jaśniały narysowane złotem. Prowadzili owe wielbłądy Tatarzy i Ormianie w zawojach na głowie, w szatach ze złotogłowiu, sporządzonych narodowym ich krojem. Za niemi szło czterech trę-

baczy w zielonych aksamitnych ferezyach, daléj czterdziestu uzbrojonych kozaków, strojnych w szkarłatny atłas i żórawie pióra. Takież pióra i atłas błękitny pokrywały sześćdziesiąt pacholąt, którym przewodniczyło jedno, błyszczące od złota i drogich kamieni. Potém widziano pięć koni cudnéj wschodniéj rassy — rzędy na nich ze złota, rubinów, pereł i szafirów, a siodła obite złotą blachą i również nasadzane klejnotami— kity około uszów z najpiękniejszych brylantów, podkowy zaś złote i umyślnie tak lekko przybijane aby odpadając, przez lud zbierane być mogły. Konie te, również jak wielbląby prowadzili Tatarzy i Ormianie. Koniuszy, trzystu dworzan, oraz wielu znakomitych panów polskich należących do poselstwa, wszyscy wspaniale przybrani, postępowali daléj. Zdarzyło się pare razy, że bystre ich wierzchowce zrywały złote łańcuchy zawieszone przy wędzidłach, a te upadając na ziemię, również jak podkowy przez lud podéjmowane były. Posuwało się jeszcze dwadzieścia kilka bogatych kolas, a za niemi dopiero postępował sam Ossoliński, mając o-

bok siebie sekretarza poselstwa, księdza Gębickiego, suffragana Gnieźnieńskiego, oraz wysłańca papiezkiego, arcybiskupa Amazyi. Ossoliński miał na sobie żupan biały altembassowy w złote kwiaty, spięty dwudziestoma guzami z brylantów najczystszéj wody, przy boku szablę, której pochwa szczerozłota tak nasadzoną była drogiemi kanakami, że ją szacowano na 20 tysięcy złp. ferezyą miał także altembasową, a przy niéj również brylantowe guzy i pętlice. U czapki migotała wspaniała brylantowa kita, takaż u uszu końskich, siodło, rząd, strzemiona i podkowy konia złote również były. Postępowało za Ossolińskim trzydziestu hajduków w jego barwie czerwonéj ze srebrem, i złocista kolasa wewnątrz pąsowym aksamitem obita, zaprężona w sześć dzielnych tarantowatych koni. Woźnice mieli ferezye zielone aksamitne ze złotem.

Cały ten orszak ciągnął do okazale przyozdobionego na jego przyjęcie pałacu *Trinita di Monte.* Gdy pomijał zamek Śgo Anioła powitano go wystrzałami z dział, do których odgłosu łączyły

się radośnie okrzyki ludu. Upodobawszy sobie wspaniałego posła, ówczesny papież Urban VIII udarował go tytułem księcia— lecz niedługo używał tego dostojeństwa Ossoliński, bo w krótce potém wyszło w Polsce prawo zakazujące noszenia zagranicznych tytułów.

Powróciwszy do kraju, na wzór owych pięknych wilii, których się napatrzał w okolicach Rzymu, wybudował zamek w Ossolinie. Otoczył go do koła obszernym ogrodem i zwierzyńcom pełnym dzikich mieszkańców.

Dziś z tego wszystkiego ślady zaledwie pozostały. Zaginęła we Włoszech pamięć wspaniałego wjazdu, lecz dotąd przechowuje się wspomnienie pomiędzy mieszkańcami okolic zburzongo zamku, że Jerzy Ossoliński umiał nieraz lepiéj używać swych ogromnych dostatków, stając się dla mniéj obdarzonych od Boga braci, hojnym łask Pańskich szafarzem.

ŚWIĘTOKRZYZKA GÓRA.

Stare podanie mówi że pierwsza nazwa Świętokrzyzkiéj góry pochodzić miała od zamku Łysiec, który w czasach jeszcze przedchrześcijańskich skalistemi ściany bielał zdala na jéj wierzchołku. Zamieszkiwała w nim pysznego i wyniosłego serca niewiasta. Zmuszała ona swych dworzan i okolicznych mieszkańców, aby jej oddawali cześć należną Bogu. Aliści jednego razu straszne chmury zebrały się po nad górą i wybuchła burza szalona. Odwieczne jodły łamały się z przeraźliwym hukiem; szumiały groźnie wezbrane potoki, a grom po gromie uderzając w wynio-

słe wieże Łyśca zamienił je wkrótce w gruzy i zwaliska, wśród których zginęła bezbożna pani zamku. Bóstwa sławiańskie Łada, Lelum polelum i Swistum poświstum, miały tam późniéj przez długie lata swoją świątnice i dopiero Dąbrówka wraz z innemi przybytkami bałwanów zniszczyć ją kazała. Ona to pierwsza wzniosła na Łyséj-Górze modrzewiowy kościołek i klasztor pod wezwaniem Stéj Trójcy, do którego następnie z Czech sprowadziła zakonników reguły Sgo Benedykta. Za panowania Bolesława Chrobrego syna Mieczysława i pobożnéj Dąbrówki, rządził sąsiedniemi Polsce Węgrami święty król, Stefan imieniem. Nie mogąc dla podeszłego wieku uczcić pielgrzymką, grobu Sgo Wojciecha, wyprawił tamże syna swojego Emeryka. Ażeby go uchronić od niebezpieczeństw dalekiéj podróży zawiesił mu na szyi skarb szacowny, otrzymany w darze od papieża Benedykta VII. Skarbem tym było drzewo krzyża ś. w srebro oprawne i na pięć rozdzielone części, bo wybrane z miejsc najbliżéj dotykających ran Zbawiciela. Krew

boska, którą przesiąkło, osłaniała od niebezpieczeństw młodego księcia. Złożywszy bogate ofiary i pobożne modlitwy we wspaniałym gnieznieńskim kościele, powracał szczęśliwie do rodzinnego kraju. Zatrzymał się czas jakiś w Polsce, pojąwszy tam za żonę córkę Bolesława Chrobrego. Podejmowany hojnie przez króla, razu jednego polował wraz z nim w pobliżu Łyséj Góry. Podanie mówi, że tamże ukazał mu się anioł, rozkazujący złożyć drzewo krzyża, w klasztorze Benedyktynów. Skoro połączywszy się ze swym orszakiem opowiedział książe cudowne widzenie, obecny wtedy przy dworze Lambert biskup krakowski doradził mu, aby niebawnie uczynił zadość życzeniu nieba; jakoż na drugi dzień potém w assystencyi licznego duchowieństwa, księcia Emeryka, króla Bolesława i jego dworu, przybrany w oznaki biskupiego dostojeństwa poniósł ś. drzewo do bram klasztoru. Przyjmowali je tam uroczyście księża Benedyktyni i z wielką czcią i poszanowaniem umieścili w kościele.

Działo się to w roku 1003. We trzy lata późniéj

Bolesław Chrobry nowy i większy kościół w tém samém miejscu wystawić rozkazał, chcąc aby krzyż Zbawiciela przeniesiony na polską ziemię, wspanialsza pokrywała budowa. Udarował hojnie zakonników, do czego także przyczynili się nie pomału owcześni panowie. Uposażyli klasztor licznemi i bogatemi włościmi, a że był położony na wyniosłéj górze w niedostępnem dla nieświadomych miejscu, chronili się tam w czasie napadów tatarskich. Mimo to niewierni w pamiętnym zadanemi od nich klęskami roku 1260; dostali się na Łysą Górę. Zrabowawszy opactwo, wraz z innemi kościelnemi sprzęty uwieźli drzewo krzyża.

Gdy uchodząc pospiesznie ze zniszczonego kraju zatrzymali się na granicy aby rozdzielić łupy, Han ich któremu dostał się relikwiarz, począł się bardzo dziwić, czemu Lachy w tak kosztownéj oprawie złożyli kawałek drzewa. Zapytywał jeńców polskich, coby to znaczyć mogło? a gdy jeden z nich powiedział, że to było drzewo krzyża, na którym umierając syn Boży odkupił z grze-

chu świat cały i wiernym drogę do Nieba otworzył, rozśmiawszy się dziko, wrzucił je w rzekę— ale drzewo zbawienia wypłynęło na wierzch. Rozniewany barbarzyńca włożył je w ogień, a Bóg znów cud uczynił dla oświecenia niewiernych. Spaliła się oprawa, lecz drzewo nieuszkodzone wyszło z płomieni, w téjże zaś chwili poganie dotknięci zostali srogiemi klęski. Wielu z nich utraciwszy zmysły rzucało się w rzekę lub w ogień, wielu sądząc że napadł nieprzyjaciel, zabijało się pomiędzy sobą, aż Han wołał głośno: Wielki Bóg chrześcijański, karze za doznane obelgi!

Usłyszawszy te słowa młoda branka polska imieniem Atlaida, doradziła mu, aby natychmiast odesłał świętą relikwię na miejsce, z którego ją zabrał. Nie wahał się i chwili przerażony doznaną karą. Z namowy Atlaidy tatarzyn u którego była w niewoli, powrócił na Łysą Górę z zabranym skarbem. Gdy późniéj pozostając u rodziny, któréj oddał dziewicę, poznał światło prawdziwéj wiary, ochrzcił się i na zawsze zamieszkał w Polsce. W kilka lat potém dla rycerskich za-

sług pozyskał znakomite urzędy i bogactwa. Stare kroniki często o nim wspominają i wiele rodzin szlacheckich używa nadanego mu herbu Dębno. W roku 1270 Litwini, jeszcze podówczas poganie, wpadli na Łysą Górę, zrabowali klasztor i znów uwieźli drzewo krzyża. Pędzili dniem i nocą, żeby uniknąć polskiéj pogoni. Już dosięgali granicy, już z radością spostrzegali drzewa i chaty swych równin, gdy nagle zatrzymały się ładowne zdobyczą wozy— daremnie poganiają konie, daremnie dzikiemi okrzyki chcą je zmusić do biegu. Wylękłe zwierzęta szarpią na wszystkie strony, zrywają wędzidła, a wozy jak stoją, tak stoją. Co tu począć—żal porzucić łupy prawie u kresu podróży, a Lachy lada chwila na kark wpaść mogą— strach wreszcie i tych potężnych czarów, któremi ich zatrzymują! Gdy tak rozprawiało po cichu kilku wodzów, a reszta próbowała jeszcze poruszyć tabory, zbliżył się stary pogańskich bożków kapłan i dał radę, ażeby przejrzeć ładunek i wyszukać przedmiotu, któren widno chce pozostać w Polsce. Żywo

wszyscy razem zabrali się do dzieła, a gdy ze środkowego wozu zrzucono wierzchnie pokrycie z pomiędzy nagromadzonych na nim sprzętów, niebieskawe światło zabłysło na czarném tle nocy. Za jego promieniem wynaleźli Litwini relikwiarz; oddali go natychmiast jednemu z jeńców polskich rozkazując odnieść do klasztoru, sami zaś jechali, już bez żadnéj przeszkody.

Odtąd dar Sgo Emeryka, nieporuszenie pozostawał na górze, która od niego dawną nazwę na Sto Krzyzką zmieniła, lecz kościół i opactwo Sto Krzyzkie przechodziło jeszcze wiele smutnych kolei— naprzód mury jego od ognia znacznie uszkodzone zostały, w roku zaś 1656 szwedzi złupili zakonników, a kilku nawet opierających się zamordowali. W roku 1777 ogień takie porobił zniszczenia, że kościół i klasztor na nowo odbudowywać musiano. Mimo to Chrystus ku pocieszeniu wiernych, zachował od zaguby część swego krzyża i dzisiejszym pielgrzymom dozwalają ucałować pobożnie, krwią męczeńską Boga oblane drzewo.

Wspomnieliśmy już na początku tego opo-

wiadania, że góra Sto Krzyzka była najpierw siedliskiem bogów pogańskich, różne zatém baśnie krążyły o niéj pomiędzy ludem to o zjeżdżających się tam na miotłach czarownicach — to o skamieniałym grzeszniku który zwolna na klęczkach wstępuje na górę a gdy dojdzie jéj szczytu w tedy świat nasz się skończy.—Ta ostatnia powiastka wypłynęła ztąd że u stóp góry stoi kamienna figura przedstawiająca klęczącego człowieka, i nikt nie wie w jakim celu postawioną była, tak odległéj sięga słarożytności. Czynią tylko domnie mania że wzniesioną została na pamiątkę pielgrzymki Władysława Jagiełły który przed bitwą pod Grünwaldem, aby uprosić sobie zwycięztwo szedł piechoto ze Słupi do Sto Krzyzkiego kościoła. Powiadają również, że gdy Jagiełło był tam po raz pierwszy niedość jeszcze wyuczony w wierze, chcąc się przyjrzeć drzewu krzyża uchwycił je nie oddawszy wprzód czci należnéj ukrzyżowanemu Bogu,—wtéjże chwili pozbawiony został władzy w zuchwałéj ręce.— Zmiarkowawszy wtedy co jest przyczyną tego wypadku padł twarzą na-

ziemię dla przebłagania Jezusa, a Najmiłosierniejszy darował winę żałującemu i wrócił mu natychmiast utraconą władzę. — Bezwątpienia i następni Królowie polscy odwiedzali relikwiją świętą, lecz w klęskach które przechodził klasztor spaliły się lub zaginęły wszystkie archiwa; niektóre inne pisma dochowały nam tylko wspomnienie pielgrzymki Władysława Jagiełły, a przed tém jeszcze Kaźmierza Sprawiedliwego.

W późniejszych czasach Zygmunt III dziękował tu Bogu za zwycięztwo odniesione nad rokoszanami pod Guzowem.

Księża Benedyktyni słynęli niegdyś z uczoności.—Jeszcze w ubiegłem stuleciu posiadali bibliotékę złożoną z wielu rękopismów i dzieł szacownych, których dzisiaj i śladu nie pozostało.

Od lat kilku Benedyktynów już niema, miejsca ich zajęli swieccy księża.—Kościół dzisiejszy z szarego głazu na szczycie góry obrosłéj lasem jodłowym, stoi niby duch przeszłości na straży wspomnień któremi to miejsce pamiętne. — Ogołocony z bogatych wotów i ofiar pobożnych, jakby dla

pociechy w tém sieroctwie, posiada siedm pięknych obrazów Smuglewicza. Żałujemy tylko że nie umiejętna ręka odświeżając je zatarła w niektórych ślady mistrza. Do najmniéj uszkodzonych należą odwiedziny Św. Scholastyki. — Jedną razą gdy Benedykt Sw. był u siostry wraz z zakonnikami swemi, Scholastyka przeczuwając śmierć blizką chciała go dłużéj zatrzymać, skoro zaś mimo próśb jej odszedł, modliła się aby powrócił.— W téjże chwili zerwała się straszna burza i opat z Monte-Cassino mimowolnie zwrócił się z drogi — malarz obrał chwilę w któréj wchodzi do celi swiętéj.

— Cóżeś uczyniła miła siostro? przemawiać zda się z pełnym niebiańskiéj słodyczy uśmiechem.

— Prosiłam cię i nie wysłuchałeś mię, modliłam się więc doPana i ten spełnił me życzenia, odpowiada z łagodną powagą, wskazując na porysowane piorunami niebo Scholastyka.— Obie postacie świętobliwego rodzeństwa mają w sobie tyle uczu-

cia i prawdy że pozostawiają nigdy nie zatarte wrażenie.

Oddzielna Kaplica mieści w świętokrzyzkim kościele drzewo krzyża oprawne w złoty relikwijarz dar Bogusława Sierakowskiego słynnego z wysokiéj nauki i świętobliwości opata Benedyktynów. W pośrodku złotéj oprawy krzyża jest ażurowa kratka, przez którą oglądać można pomieszczone wewnątrz drzewo, kratka ta nadłamana zjednéj strony, a do tego uszkodzenia przywiązane jest podanie, że ktoś chciał sobie przywłaszczyć potajemnie cząstkę szacownéj pamiątki, lecz zaledwie nadłamał relikwiarz pozbawiony został władzy w ręku.

KLASZTOR BENEDYKTYNEK

W SANDOMIERZU.

W wielkim modrzewowym dworcu, otulonym starych lip cienistemi konary, w ozdobnéj komnacie tu i owdzie pozastawianéj w kosztowne staroświeckie sprzęty, umieszczon był piękny wizerunek Matki Zbawiciela. Przed nim,—niby wyraz pobożnych uczuć mieszkańców domu,—dzień i noc srebrna lampka płonęła. Blady i czysty jéj odblask padał teraz na równie przejrzystą i bladą postać modlącéj się dziewczynki.

— O święta Panienko, mówiła wpatrując się w oblicze swéj orendowniczki, natchnij słowa moje aby zaszczepiły w sercach niewinnych dziatek Boską naukę Twego syna. — Obraz Maryi zdawał się uśmiechać łagodnie do proszącéj, poglą-

dając na nią mile, i była to niby rozmowa pomiędzy tkliwą matka, a pokorném i kochającém dziecięciem.

Okna komnaty szeroko były rozwarte i woń kwiatów zdobiących domowy ołtarzyk mięszała się z wonią lip kwitnących do koła. W dali odzywał się świergot bożych spiewaków, i łagodne pracowitych pszczółek brzęczenie, z resztą cicho było do koła, i wonno i lubo, jak w przedsionku raju.

—Zofko moja miła, ozwała się uchylając drzwi wchodowe poważna matrona, zaprzestań już twéj modlitwy i pobiegaj trochę po sadzie, bo znów na zdrowiu szkodować będziesz, jeśli choć na chwilę nie zażyjesz rozrywki.

— O to późniéj... bo teraz dodała z zakłopotaniem dzieweczka, czekają zgromadzone w méj komnatce dziateczki które nauczam. Sędziwa niewiasta smutnie poruszyła głową,—zawsze i zawsze więc zajętą jesteś jeżeli nie modlitwą to czynami miłosierdzia; dobrze to dziecie moje, lecz radabym przy tém abyś weselem i swobodą właściwą młodemu wie-

kowi podobną była rówiennicom twoim; lękam się ażali matka twa zadowolnioną będzie upodobaniem twem li tylko w rzeczach odrywających od świata; lękam się z resztą że skutkiem wzruszenia którego doznajesz przy onem nauczaniu słabować zaczniesz... bo zdrowie twe zawsze tak wątłe!

— O wierzajcie przerwała z zapałem Zofia że czynności te życia mi dodają; lżej zawsze gdy wylewam na zewnątrz cząstkę niezmiernéj miłości dla Chrystusa, bo nieraz zdaje mi się że płomień ten zniszczy wątłą istotę którą przenika; wszak prawda miła babko ciągnęła daléj zaniepokojona, wszak prawda, że rodzice nie sprzeciwią się memu powołaniu i dozwolą mi na wieki pozostać oblubienicą Boga mego?

—Dziecie odrzekła jéj smętnie babka, powtarzałam już nie raz, że nie znam ich zamysłów, niemogę więc zaręczyć za nic, nie zniosłszy się z niemi pierwéj, módl się i ufaj Bogu, który snać ukochał twą duszę skoro ją tak silnie pociąga ku sobie!

Komnatka wktóréj zgromadzone dziatki wieśniacze oczekiwały swéj mistrzyni, zdradzała proste i skromne jéj nawyknienia — Nic tam więcéj nie było nad niezbędnie potrzebne przedmioty — święte wizerunki na ścianach stanowiły jedyną ozdobę tego przybytku chrześciańskiego miłosierdzia.

Skoro młodziuchna dzieweczka zasiadła z niezwykłą swemu wiekowi powagą, jęła rozpytywać uczennice o prawdy wiary które im przed tém wykładała, wszystkie na wyścigi odpowiadały w sposob, że zaraz znać było jako pojęły to, co ich nauczano.

Oczy Zofii zajaśniały w tedy radosnym blaskiem i z wielkim zapałem ducha poczęła objaśniać im dalej święte tajemnice; a zdarzyło się właśnie, że wypadło jej mówić o męce Zbawiciela. Gdy przyszło do spełnienia krwawéj ofiary, nagle cały zapał dziewczęcia we łzy się rozpłynął. Dzieci przysłuchujące się temu opowiadaniu pełnemu zgrozy i boleści, rzewnie również płakać zaczęły, i w jednej chwili dziewi-

cza komnatka stała się niby obrazem Golgoty rozlegającej się jękiem córek Jerozolimskich.

Jeszcze młodociane serca nie przytłumiły swego wzruszenia i oczy z łez nie obeschły, gdy wbiegła jedna z dziewcząt służebnych wołając: Pani marszałkowa koronna przyjechała! — Moja matka? zawołała Zofia i lica jéj lekko zbladły, czyż by już nadchodził czas próby? dodała z cicha — Pożegnała natychmiast swe dziateczki, odmówiła modlitwę, a potem przyciskając rękoma silnie uderzające serce, zeszła do pokoju babki gdzie czekała już na nią niecierpliwie, strojna i piękna jeszcze niewiasta.

Gdy dziewcze uściskało jéj kolana, jęła mu się przypatrywać ciekawie. Snać zadowolnioną została z postaci córki, bo pocałowała ją w czoło i rzekła z nie tajoną radością: wyrosłaś i wypiękniałaś mi do niepoznania moja dzieweczko, a toć to już rok blizko jak cię niewidziałam, nie sądz przeto abym zapomiała o tobie; da Bóg doczekać, przekonasz się w krótce, że cię miłuję na równi z Elżbietą.

Zofia Sieniawska, córka marszałka W. K. i Gostomskiéj wojewodzianki Rawskiéj liczyła lat pietnaście gdy nagłe przybycie matki zatrwożyło jéj serce — Kochała ona rodziców miłością dziecięcią, lecz niewiele ich znała, chowając się u babki — Kochała równie siostrę swą jedyną Elżbietę, a lubo rzadko się widywały, jednaką miały skłonność do życia cichego zdala od gwaru świata, jednako lubiły samotność z Bogiem.

Zasłyszała nieraz Zofia od Babki i domowników, że ta piękna i luba siostra, z woli matki odmienne pobożnym upodobaniom wiodła życie, i gorzko nieraz opłakiwała swą dolę; niedziw zatem że lękała się dla siebie zmiany, tem bardziéj, skoro dni jéj obecnie płynęły tak słodko wśród modlitwy, pracy i dobrych uczynków, że porzucić to wszystko dla świata, było to niby przenieść wygnanie z raju.

Nazajutrz wielki był płacz i lament w Przyrowskim dworcu, gdyż pani Sieniawska oświadczyła, że na czas jakiś zabiera do siebie córkę, Zofia pocieszała wszystkich nadzieją rychłego

powrotu, lubo w duszy pewną była że nadeszła już ostatnia chwila rozstania z lubą jéj przeszłością.

—Oddajcie mi nie zadługo białą gołąbkę moją mówiła ze łzami Pani Sieniawska do synowéj, stojąc w ganku gdy ta uwoziła córkę. Matka Zofii uśmiechała się skłaniając pozornie do tego życzenia, w duszy jednakże inne miała zamiary. — Była to niewiasta pełna próżności i dumy—rokowała sobie że uroda Zofii zwabi jéj w krótce zięcia z jednéj z najświetniejszych rodzin w kraju.— Starsza jéj córka Elżbieta zawiodła już te pochlebne nadzieje albowiem postępowaniem swem starała się odstręczać wszystkich zalotnikow i wzdychała tylko do klasztornéj zaciszy.— Oboje rodzice osądzili już z żalem że niepodobna sprzeciwiać się temu powołaniu—jakże więc wypowiedzieć ich podziw i boleść gdy dostrzegli że i druga córka zupełnie podobne ma usposobienie.

Daremnie starali się urozmaicić jéj rozrywki, daremnie matka przedstawiała jéj licznych wielbicieli, chcąc aby wśród nich wybrała małżonka, Zofia marzyła tylko o życiu samotnem zdala od świata

który jéj nie mógł przynęcić.— Słynna jéj uroda sprowadziła w dom rodziców znanego z bogactw i zacnych przymiotów Krzysztofa księcia na Zbarażu, wszelkiemi sposoby starał się on pozyskać wzajemność dzieweczki, lecz dusza jéj za nadto już oderwaną była od świata aby ziemska miłość przystęp do niéj znaleść mogła. Łatwo odgadnąć że pani Sieniawska nie szczędziła zabiegów aby skojarzyć ten związek; byłaby może nie wachała się zmusić córki, gdyby nie to że szlachetny młodzieniec sam się odsunął, nie chcąc przymnażać przykrości ulubionéj.— Uczynił szlub że innéj nie pojmię małżonki, i dopełnił go święcie pozostając do końca życia samotnie wśród licznych swych zamków i włości.

Pani Sieniawska, czy złamana wreszcie stałością córki, czy téż sądząc że już po raz drugi równie świetny los się jéj nie nadarzy, zezwoliła w końcu aby obie wraz z siostrą wstąpiły do wybranego przez siebie klasztoru.— Odwieziono je tedy do Chełma gdzie podówczas przełożoną była świętobliwa Magdalena Mortęska.

Stara księga z któréj czerpaliśmy wszystkie powyższe szczegóły, mówi że w czasie téj podróży wielkie zachować musiano ostrożności, gdyż oddaleni zalotnicy panien Sieniawskich chcieli jéj koniecznie przeszkodzić.

W rok potem odbyły się w jednym dniu obłóczyny obu sióstr.— Był to dla nich dzień uroczysty pełen zarazem radości i tęschnoty.—Cieszyły się że po tylu przeszkodach, doszły wreście do upragnionego celu, smutek zaś napełniał ich dusze z powodu że ani rodzice, ani nikt z krewnych nie był przy nich wtedy.

Cnotliwa babka Zofii już nie żyła, reszta zaś rodziny niechętnie patrzała na powołanie dzieweczek.

Bóg nigdy nie opuści tych którzy się garną ku niemu szczerem sercem.— Zofia w chwili obłóczyn pocieszoną została jasném widzeniem.— Zdało jéj się że zawieszony w kościele wizerunek Chrystusa uśmiechając się do niéj błogo, wyrzekł te słowa: Wszyscy cię opuścili lecz ja pozostaje z tobą na wieki!

W pierwszych chwilach zakonnego żywota Zo-

fii, dusza jéj oczyściła się jeszcze w ogniu cierpienia z wszelkich ziemskich słabości. Umarła najpierw ukochana jéj siostra Elżbieta, a potem zaraz w klasztorze wiele znieść musiała przykrości i udręczeń. Pokonawszy je wszystkie mężnie, ściśléj jeszcze uczuła się połączoną z Bogiem.— Wielkiéj też wkrótce doznała pociechy, matka jéj albowiem zbolała śmiercią Elżbiety, wyrzekła się wreście na zawsze próżności świata. Obracając cały majątek na chwałę Bożą w r. 1616 położyła pierwszy węgielny kamień klasztoru Benedyktynek w Sandomierzu którego Zofia pierwszą była ksienią.

Ziściła ona wtedy wszystkie piękne nadzieje lat dziecinnych dając siostrom którem przewodniczyła przykład rzadkiéj pobożności i cnoty.—Zdrowie jéj zawsze nadzwyczaj było wątłe— z żalem całego zgromadzenia zgasła przedwcześnie bo w 38 roku życia pełnego miłości i poświęcenia: klasztor który powstał za jéj przyczyną istnieje dotąd przechowując pamięć cnót założycielki.

DAWNIEJSZE SIEDLCE

URYWEK

Z opowiadania mojej Babki.

— Pierwszą okazałą uroczystością w któréj uczestniczyłam, mówiła mi jednego razu moja babka, był przyjazd do Siedlec króla Stanisława Augusta. Pamiętam jak gdyby to dzisiaj było, miałam wtedy lat piętnaście — ojciec mój powróciwszy z Warszawy oznajmił; że za dni kilka mamy się gotować na świetną biesiadę, którą pani hetmanowa Ogińska (*) uczcić zamierza przybycie królewskiego gościa. Z razu uradowałam się bardzo; że zobaczę króla i dwór jego, lecz potém strach mię ogarnął, na myśl, ukazania się w tak licznem zebraniu. Nie sądźcie jednak, aby zakłopotanie się

(*) Aleksandra z Czartoryjskich, ówczesna właścicielka Siedlec.

ubiorem było powodem téj obawy — ani nawet wspomniałam o stroju, przywykłszy zawsze w jednéj białéj występować sukience. Ze względu jednakże na fakt niezwyczajny Madame Coppé, pozostająca od śmierci matki przy nas ochmistrzyni, zrobiła uwagę, że możeby warto zakupić nową wstążkę do włosów — ale ojciec mój przerwał jéj mówiąc, że cały dwór w żałobie z powodu śmierci Ludwika XVI, zatém wypada, aby wszyscy obecni goście podobnie ubrani byli. W czarnych więc marselinowych sukniach wyruszyłyśmy z siostrą w dzień oznaczony. Włość nasza Maścibrody położona była blisko Siedlec, a że pani hetmanowa wielce nam życzliwa, pragnęła, aby ją często odwiedzać, znane mi były dobrze wszystkie tamtejsze obchody—lecz niewidziałam jeszcze równie świetnego jak wówczas przyjęcia.

Gdy po ukończonym późno w wieczór wykwintnym obiedzie i spalonych sztucznych ogniach, zebrano się w balowéj sali—gospodyni szepnęła kilku z dawna ku temu przygotowanym osobom, aby niby z nienacka przebrawszy się po krakowsku

zatańczyły przed królem narodowego tańca. Słynna z urody panna Potocka ukazać się miała w pierwszéj parze z paném Grodzickim szambelaném królewskim. Skoro już wszyscy byli zgromadzeni, pani Ogińska oznajmiła królowi zgotowaną mu niespodziankę i zarazem ozwała się wesoła muzyka. Wtedy dopiero dostrzeżono że brak jeszcze panny Potockiéj, którą zatrzymał podobno źle zrobiony gorsecik, przekształcający się w biegłych rękach garderobianéj. Pan szambelan Grodzicki oglądał się kręcił i niecierpliwił widocznie, a gdy król zapytał czemu nie zaczynają? oświadczył wręcz towarzyszom, że dłużéj czekać nie będzie, bo słowa królewskie są rozkazem, i natychmiast w zręcznych i umiejętnych podskokach zbliżył się do grona panien, aby jednę z nich wybrać w miejscu panny P. Usunęłam się po za moje towarzyszki niechcąc im zabierać miejsca, lecz jakże zostałam zdziwioną, gdy pan G. przecisnąwszy się pomiędzy niemi podał mi rękę.—Ależ panie szambelanie, mówiłam zapłoniona, ja tu najmłodsza wiekiem, przytem czarno ubrana— w żaden spo-

sób tańczyć nie mogę. Ale pan G. nie zważając na to tłomaczenie, pociągnął mię na środek sali, tu wszystkich oczy zwróciły się na nas, i wycofać się nie było już sposobu. Rozpoczynając taniec tak byłam pomieszaną, że zdało mi się że wszystkie lustra i stołki kręcą się w około, a wejrzenia obecnych panien niby iglice stalowe wskróś mię przeszywają. Późniéj ośm ieliłam się trochę i czułam sama, że jakoś nie źle wtorowałam uczonym krokom, słynnego ze swéj umiejętności w tańcu szambelana. Skoro stanęliśmy przed królem, skłoniłam się jak umiałam, a pan G. pociągając mię ku ziemi szeptał: niżéj jeszcze, niżéj panno starościanko.

— Czyjaż ta ładna i zgrabna dzieweczka? pytał król pani hetmanowéj, gładząc mię po twarzy.

— Chrzestna moja—córka pana Lem....go starosty Janowskiego, odrzekła uradowana powodzeniem mojém, pani Ogińska.

Gdy pocałowawszy podaną mi ku temu rękę królewską, odchodziłam, ciesząc się, że już ukończona moja reprezentacja, spotkałam gniewny wzrok

panny Potockiéj która nadeszła właśnie w całym blasku urody podniesionéj świetnym strojem.

— Winszuje wacpannie, że ci się tak dobrze udało zastąpić moje miejsce, rzekła z nietajoną urazą.

— Ale mnie prawdziwie bardzo to było przykrem, pan Grodzicki gwałtem mię prawie wyprowadził do tańca, nie wiedziałam co począć.

— Znamy się na takiéj nieśmiałości, co to zręcznie potrafi stanąć w pierwszym rzędzie.

Łzy mi zabłysły w oczach na tak niesłuszne podejrzenie i nie tłomaczyłam się już więcéj. Przekonałam się późniéj, że inne panny również zazdrościły mi zaszczytu, którego byłabym chętnie każdéj z nich ustąpiła.

Jednym z wypadków méj młodości, któren się także głębiéj wyrył w pamięci, było przejście przez Maścibrody jenerała Kościuszki. Ojciec mój nie był w domu, gdy nam znać dano, że jenerał z całym swym sztabem rozkwaterował się na wsi, gdzie mu wypadła dniówka. Zerwała się żywo ze stołka, na tę wieść madame Coppé, zaczęła wydawać

rozkazy przywołania kucharza i szafarki, to znów okurzania mebli w bawialnéj sali, a przytem poprawiała prędko trochę rozrzucone włosy.

— Na co te wszystkie przygotowania? zapytałam jéj zdziwiona.

— Jakto nie odgadujesz waćpanna? skoro tylko wszystko będzie w należytym porządku, poszle w twém imieniu prosić jenerała, aby tu przybył na obiad.

— Zmiłuj się madame Coppé, czyż potrafię w niebytności mego ojca przyjąć z winną mu attencją tak zacnego gościa?

— To trudno musisz waćpanna ukazać się i przemówić układnych słów kilka — reszta na mojéj głowie, — lecz ubieraj się prędzéj w niebieską perkalikową suknię, bo już południe się zbliża.

— Nie wypraszałam się dłużej, wiedząc, że wszystko byłoby nadaremno, bo madame Coppé dobra z resztą kobieta, lubiła nadzwyczajnie korzystać z każdéj sposobności, znajdowania się w liczniejszém towarzystwie. Ubrała się tedy wykwintnie, przykrasiła twarz różem i kielidłem, a

zdaje mi się, że nawet przylepiła parę kitajkowych muszek, i siadła obok mnie w bawialnéj sali. Nadszedł téż wkrótce pan jenerał, otoczony świetnym sztabem, ubrany w granatową skromną czamarkę, niewyglądał bynajmniéj na dowódzcę, swych strojnych oficerów. Dano znać do stołu — podał mi rękę, a przeprowadziwszy do jadalni, stanął po za mym stołkiem, i dopiero na usilne prośby zajął przygotowane sobie miejsce. Pełen dworności rycerskiéj w towarzystwie kobiét, rozmawiał wyłącznie o przedmiotach mogących mię zająć; sam odmieniał podawane mi talerze i stało się jakoś, że znikła wrodzona moja nieśmiałość— że rada byłam w duszy zaprosinom madame Coppé—ona téż ze swéj strony starała się zwrócić na siebie uwagę otaczających i z wielkiém zadowoleniem słuchała pięknych słówek, których jéj nie szczędzono.

Nie zbyt długo po skończonym obiedzie, jenerał dał znak, że już czas powracać do kwatery. Gdy już wszyscy zabierali się do wyjścia, zbliżywszy się do mnie wyrzekł:

— Bardzo wdzięcznie dziękuje pannie Staro-

ściance za tak miłe i gościnne przyjęcie.— Poczem pocałowawszy mię w rękę wyszedł wraz z drugiemi.

W późniejszych czasach mego życia, zdarzyło mi się napotkać wielu znakomitych ludzi, lecz żaden z nich nie zatarł w pamięci mojéj Kościuszki, którego nie ujrzałam już więcéj, od owéj dniówki w Maścibrodach.

Dwór pani hetmanowéj Ogińskiéj różnił się wiele od świetnych sąsiednich mu Puław. W Puławach lubo żywiono w sercach głęboką miłość dla narodowości, obyczaje i sposób życia były na wzór cudzoziemski— w Siedlcach przeciwnie wszystko tchnęło starodawną ojców naszych prostotą. Komnaty pałacowe zapełnione były w prawdzie kosztownemi sprzętami, lecz daleko im było od dzisiejszych wymysłów i wygód. Nie dostrzegłeś tam nigdzie owych drobnych cacek, które tak wiele kosztują pieniędzy, a służyćby raczéj winny do zabawy dzieci, niżeli do przyjemności starszych osób. Pani hetmanowa sama utrzymywała rachunki swych dochodów, to też wystarczały zawsze na wspomaganie ubogich. Do stołu

jéj codzień po kilkadziesiąt osób siadało — potrawy lubo niewykwintne, w dostatecznéj były ilości dla zaspokojenia głodu wszystkich. Oprócz gości których mieściły oficyny pałacowe, wielu było takich, którzy obrali sobie Siedlce za stałe zamieszkanie i mieli ponajmowane domy w mieście. Pomiędzy temi ostatniemi, pamiętna mi dziś jeszcze postać pana podkomorzego Piaskowskiego; był to wysoki, blady i przygarbiony starzec, ubiór nosił francuzki, lecz z suknią nie odmienił serca. Uczynił ślub nie opuszczać swego mieszkania, dopóki się nie z iszczą nadzieje, których spełnienia gorąco pragnął. Gdy po trzech latach dobrowolnego więzienia, marzenia jego płonnemi się okazały, zamknął się na wieki w ponuréj sklepionéj komnacie swego Janowieckiego zamku, i już do śmierci nie przestąpił jéj progu. Skoro został złożony ostatnią chorobą, przygotował się pobożnie do przejścia w lepsze życie, resztki z pozostałego mu znacznego niegdyś majątku, rozdał pomiędzy domowników i ubogich, a potém położyć się kazał w trumnie w któréj w kilka godzin późniéj zakoń-

czył życie. Nie zostawił żony i dzieci, lecz towarzyszyły mu do grobu łzy nieszczęśliwych, których zawsze wspomagał. Pamiętny zalecać Chrystusa codziennie nakarmiał kilku głodnych—nadto miłosierdzie jego rozciągało się do najmniejszych tworów bożych— ptaszki powietrzne znajdowały dla siebie zboże rozsypane około jego domu, a myszy kawałki chleba po za kufry i szafy porzucane.

. . . . . .

Ludno bywało w Siedlcach w dnie powszednie lecz w niedziele i święta podwajało się grono gości przybyciem okolicznych sąsiadów. Cały ranek pani Ogińskiéj poświęcany bywał rachunkom z rządcami i zajęciom domowym— około drugiéj dopiero ukazywała się w salonie wnoszona przez dwóch hajduków w krześle, którego dla niemocy w nogach od lat kilkunastu nie opuszczała. Po zwykłych powitaniach wszyscy zasiadali do stołu, zajmując miejsca według wyższości rodu lub urzędu. Był tam również ów tak nazwany szary koniec, przy którym wraz z innemi mieściła się, przyjeżdżająca z nami panna służebna. Na środku stołu, ku zabawie gości, stały piękne porcelanowe figur-

ki na ogromnéj zwierciadlanéj tacy. Po skończonym obiedzie pani hetmanowa grała w lombra, lub wykręcała złote galony; (*) wydobyty z nich kruszec oddawała na ubogie kościoły, chcąc w ten sposób wynagrodzić bezużyteczność téj zabawki. Około godziny piątéj wnoszono ogromne imbryki kawy i śmietanki, a obok nich stosy grzanek lub owych słynnych Siedleckich bułek. Towarzyszący całemu przyrządowi kawiarz rozlewał zamorski napój, a ci którzy pragnęli go skosztować, dobrze pilnować się musieli, bo często nic nie pozostało dla tych co przybyli zapóźno. Po skończonéj kawie odzywała się muzyka nadworna i przeciągano tańce aż do wieczerzy, po któréj pani hetmanowa udawała się na spoczynek, a za nią rozchodzili się wszyscy. Czyniąc zadość woli ojca, często bywałam na podobnych zebraniach, lecz to ciągle życie na zewnątrz tak mi się uprzykrzyło, że postanowiłam sobie nigdy nie tańczyć jak tylko od siebie zależeć będę, jakoż raz tylko w życiu chybiłam mimowolnie temu ślubowi.

(*) Ulubiona wówczas robótka bogatych kobiet zwana po francuzku parfilage, która zależała na wyciąganiu złotych nitek ze sznurków i galonów.

Było to w pare lat po mojém za mąż pójściu, na balu w Puławach w sąsiedztwie których mieszkałam wtedy— postępowałam w poważnym polonezie od którego nie wymawiałam się nigdy, kiedy nagle na znak umówiony muzyka zagrała walca—rada nie rada musiałam się wykręcić kilka razy w koło z moim tancerzem; tancerzem tym był książe Józef Poniatowski, więc dla tego może ostatni mój taniec tak pamiętnym mi pozostał. Ale wróćmy jeszcze do Siedleckiego pałacu. Uroczystości kościelne bywały tam obchodzone według wszystkich religijnych przepisów a posty zachowane ściśle, czego już niedopatrzyłeś w Puławach. W wielki Piątek pani Ogińska i wszystkie goszczące u niéj panie, klęczyć musiały po godzinie przed grobem Zbawiciela; ubierały się wtedy czarno i nie kładły różu, któren tak był w owych czasach używany, że nawet osoby przyciśnione chorobą i wiekiem nie mogły się wymówić od malowania twarzy. W czasie rezurekcyjnéj processji, obrazy które dziś tylko wiejskie noszą dziewczęta, podtrzymywane były przez córy najznakomitszych ro-

dzin. Nie wstydzono się oddać w ten sposób jawnéj czci Bogu, wspominając słowa Jego syna: „Ktokolwiek zaprze się mnie przed ludźmi, ja go się zaprę przed moim ojcem w niebiesiech.“

Do końca życia pani Ogińska lubiła się otaczać swemi gośćmi i gorzéj się czuła skoro nie było nikogo w jéj pokoju. Bardzo już była chorą, gdy przypadły zaślubiny księżniczki Zofii Czartoryskiéj z hrabią Zamojskim, kazała się przewieść do Puław w karecie wysłanéj materacami i z łóżka obecną była całéj uroczystości. Pamiętam dobrze ten obrzęd, któremu obecność umierającéj jakąś smutną nadawała barwę. W pośrodku pałacowéj sali ustawiono ołtarz, a gdy jaśniejąca pięknością księżniczka, w białéj krepowéj sukni przyozdobionéj srebrnym haftém i sznurami brylantów, stanęła obok narzeczonego—rozwarto szeroko drzwi przyległéj komnaty i ukazało się wspaniałe łoże na którém siedziała pani hetmanowa, podtrzymywana przez swoje panny. Narzeczeni uklękli przed nią prosząc o błogosławieństwo, poczém powrócili przed ołtarz, gdzie po długiéj przemowie ksiądz Pi-

ramowicz błogosławił ich związkowi. Niezadługo potem opłakiwaliśmy śmierć pani Ogińskiéj.

Po wspaniałym pogrzebie złożono w grobie miejscowéj kaplicy jéj zwłoki. Spadkobierca majątku książe Cz. wydał natychmiast rozporządzenie, aby przez miesiąc cały jak za życia hetmanowéj mieszczono i żywiono wszystkich rezy[illegible]tów, żeby przez czas ten obmyśleć sobie mogli jaki sposób do życia. Zdarzyło się wtedy, że zarządzający pałacem widząc zasiadającego do stołu szlachcica bardzo niepokaźnego miną i ubiorem, zapytał go ktoby był?„Mości panie odparł tenże, za nieboszki hetmanowéj nie zagadywano cię kto jesteś, tylko pytano się czyś nie głodny.“ Odpowiedź ta lepiéj od najszumniejszéj pochwały maluje szlachetne serce pani Ogińskiéj.

Dzisiejsze Siedlce odmienną zupełnie mają postać. Pałac i ogród nie odbija już gwaru wesołéj drużyny, ani skocznéj muzyki odgłosów— z dawnych sprzętów ani śladu nie pozostało— tylko kaplica starą zachowała barwę— zwyczajnie jako przybytek poświęcony Temu, który sam jeden nigdy nie przeminie.

SPIS ROZDZIAŁÓW.

		Str.
1	Raciborski Zamek	9
2	Siostra Księcia Mieczysława	20
3	Jarosław Bogorya	31
4	Biały Książe	41
5	Świętosław.—Ojciec Rafał.—Jan Dębiński.—Michał Bużewski.—Kaźmierz Korsak	51
6	Tomasz Oborski. — Floryan Czartoryski.— Henryk Firléj.—Ksiądz Stanisław Warszewicki . . .	99
7	Starościna Dobczańska	141
8	Hetmańska wdowa	163
9	Wspomnienia Sandomierskiéj ziemi.—Sandomierz.—Zawichost.—Kościół w Malicach.—Ossolin.—Łysa Góra.—Klasztor Benedyktynek w Sandomierzu.	179
10	Dawniejsze Siedlce, urywek z opowiadania mojéj Babki	241

WAŻNIEJSZE OMYŁKI DRUKU.

Stronnica 16 wiersz 2 od dołu, zamiast *boleśne prośby*, czytać boleśne próby.

Stronnica 70 wiersz 9 od góry, zamiast *pozostał on sam*, czytać on sam pozostał.

Stronnica 80 wiersz 5 od dołu, zamiast *podziwia*, czytać podziwiając.

Stronnica 107 zamiast *jego naśladując wiernie cnoty*, czytać naśladując wiernie jego cnoty.

Stronnica 144 wiersz 8 od góry, zamiast *przyobiecanéj tem*, czytać przyobiecanéj tym. — 10 wiersz od góry, zamiast *nad temi*, czytać nad tymi.

Stronnica 158 wiersz 2 od dołu, zamiast *potem*, czytać przedtem.

DK 4150 .B77 C.1
Wspomnienia z przeszlosci :
Stanford University Libraries
3 6105 036 313 406

DK
4150
.B77

DATE DUE

Stanford University Libraries
Stanford, Ca.
94305